Nr. 7. Warszawa, dnia 1 Stycznia (13 Lutego) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

FILOZOFIA. NAUKI SPOŁECZNE. NAUKI PRZYRODNICZE. HISTORYA. JĘZYKOZNAWSTWO. SZTUKA.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują. Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

REFORMY NA KRECIE.

Konstantynopol 3-go lutego. W obwodzie Kanci anarchia. Miasto w mocy ludności tureckiej. Chrześcianie zbroją się i gromadzą w okolicach.

3-go. Chrześcianie maszerują na Kaneę.

Londyn 3-go. Curzon w Izbie gmin: W ciągu ostatnich kilku tygodni skutkiem przesiedlania się Mahometan do miast, nieraz wydarzały się rozruchy, w których po obu stronach byli polegli. Do lądu przybiły okręty wojenne mocarstw. Konsulowie utrzymują ciągłe stosunki z władzami. Organizowana obecnie żandarmerya przywróci porządek.

Ateny 5-go. Konsulowie przewidują ogólne powstanie. Komisya konsularna udała się wraz z Berowiczem na miejsce. Trzy tysiące chrześcian uderzyło na Kaneę. Słychać strzały.

Rzym 6-go. Mahometanie w Akrotiri pomordowali chrześcian. Wali uderzył na napastników: bitwa przez noc, pożar w mieście, w kilku punktach. Komendanci okrętów europejskich wysiedli na ląd.

Paryż 6-go. Na wody kreteńskie wysłano jeden jeszcze okręt. Poddani francuscy schronili się na swoje okręty.

Kanea 8-go. Pożary w mieście nie ustają. Płoną i wsie okoliczne. 700 Greków pod Halepo uderzyć ma na Turków. W Rethymnonie położenie niebezpieczne.

Rzym 8-go. Mahometanie napadli na arsenał i zabrali broń. Okręty włoskie „Laurea" i „Stromboli" zawinęły do Kanei. Francuska „Frondo" w drodze.

Londyn 9-go. Z Konstantynopola: W Kanei muzułmanie plądrują domy chrześcian. Berowicz rozdał między Turków karabiny. Komitet rewolucyjny ogłosił przyłączenie do Grecyi. Grecya wysyła okręty. W Rethymnonie konsulów trzymano jak jeńców. Żandarmerya nic nie robi. Porta nie chce uznać Anglika za jej dowódzcę.

Rzym 10-go. Eskadra z 7-u okrętów wyrusza na wody kreteńskie.

Konstantynopol 10-go. Tej nocy znowu bili się Turcy z chrześcianami. Miasto zajęte przez wojsko i ludność turecką. Grecka „Hydra" przywiozła chrześcianom broń i amunicyę.

W takiej postaci przejawiają się teraz reformy, nadane Krecie przez sułtana, a poręczone przez mocarstwa. Sułtan po reformach, tak wdzięcznie wyglądających, chce wysłać wojsko; mocarstwa nie odmawiają mu prawa, ale właśni jego ministrowie nie radzą mu z tego prawa korzystać. Grecya uzbraja całą swoją flotę i dowozi zasoby wojenne. Mocarstwa tamują jej jedno i drugie, z mocy ożywiającej całą politykę obecną zasady: Turcyi nie tykać. W Atenach natarczywie przekłada dyplomacya, że wszelkie wiązanie się z Kretą, sięganie po aneksyę będzie srogiem przestępstwem. Na wyspie nikt już o reformach nie myśli. Wszystko rwie się do niepodległości, do wolnej Grecyi. Dnia 6 b. m. w Akrotiri wywieszono flagę grecką, ogłoszono zjednoczenie z król. greckiem. Gdy p. Curzon, podsekretarz zagraniczny parlamentu, d. 9 b. m. zaręczał, że przywracanie porządku postępuje na Krecie, był równie naiwnym, jak d. 3 b. m., gdy się spodziewał, że organizowana dopiero żandarmerya przywróci porządek. I co p. Curzon „porządkiem" nazywa?

Fremdenblatt przypomina równające się protokółowi bezinteresowności zobowiązanie ogólne: utrzymania Turcyi *in statu quo nunc* i grozi Grekom nieszczęściami. Zdawałoby się więc, że mogą tam sobie być krwawe rozruchy i pożogi na Krecie, ale w łonie dyplomacyi panuje, panować musi, błogi spokój dzięki zgodności wrażeń, myśli i zamiarów. Tak przecież nie jest, bo *Nord* przeczy, jakoby — po tylu porozumieniach — między mocarstwami przyszło nareszcie do porozumienia się. Gdy jednocześnie z Paryża zapewniają, że mocarstwa już opracowały projekt reform dla Turcyi i zostawią sułtanowi 10 dni czasu na namysł — pod „reformami" jak dawniej, tak i teraz rozumieć potrzeba środki dla bezpieczeństwa bankierów europejskich przedsięwzięte a z właściwych reform nic. Ten zamęt, to rozmyślne wszystkiemi siłami robienie niczego — lepiej od not, których publicystyka nie zna, od domysłów, którymiby je zastąpić sobie rada — lepiej od najmędrszych komentarzy dowodzi, jak daleco wszystko jest jeszcze do zrobienia, po dwuletnich już robotach, z takim prowadzonych hałasem. Mocarstwa jeszcze się nie podzieliły Turcyą i dlatego utrzymują ją w nietykalności tak doskonałej, że nawet reformami tykać jej nie myślą. I nacóżby myśleć miały, kiedy wszystko, z reformami czy bez nich, przeznaczone jest na zmiecenie?

Tydzień polityczny. Nie pojechał p. Gołuchowski do Rzymu, ale pojechał radykalny p. Bourgeois w poselstwie przyjętem od oportunistyczno-agrarnego p. Méline'a. Król Humbert podjął gościa serdecznie — czy i jego propozycye, trzymane w cieniu? Poselstwo nadzwyczajne trwało kilka dni. Zaczęło się 4 b. m.

W Przedlitawii ruch wyborczy wszystkich pochłania. Kurya piąta jest wielką niewiadomą, od której zależeć może los i gabinetu i sejmu. Do 353 obecnych przybywa 72 nowych posłów. Cesarz austryacki wysłał d. 9 b. m. do Berlina w posłannictwie tajemnem arcyksięcia Ottona, swego następcę tronu, po nieodwołalnem już skazaniu na śmierć przez lekarzy upatrzonego zrazu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este.

Rząd angielski wstawił w swój budżet pierwszą ratę zwrotu zaliczenia, wziętego z kasy długów w Egipcie wbrew woli większości mocarstw. Powiedział przytem d. 5 b. m. mowę dotkliwą dla Francyi Hicks-Beach, minister skarbu. Izba uchwaliła ratę. Przy głosowaniu było tylko 226 obecnych. Przeciw dżumie i głodowi indyjskiemu Anglia dotychczas nic nie przedsiębierze: czeka, aż powymierają ci, co mają wymrzeć. Kwestya będzie rozwiązana.

D. 5. b. m. sejm niemiecki uchwalał budżet kanclerstwa. Poseł Komierowski poskarżył się na władze pruskie. Kanclerz Hohenlohe zabłysnął: W ciągu stu lat cywilizacya wzrosła. Dzięki Prusom wytworzył się wykształcony stan średni: on to daje Polakom siłę do napaści na rząd. Takie dobrodziejstwo wkłada obowiązek wdzięczności, a tu wręcz przeciwnie Polacy nie chcą się uznać za poddanych pruskich. Propaganda narodowa godzi w ideę państwową pruską. Rozum stanu nakazuje cios odpierać. Po złudzeniach przyjdzie gorzkie rozczarowanie. — Oto co mąż powiedział.

Nazajutrz wolnomyślni wezwali rząd do osłaniania wyższych urzędników państwa przed policyą tajną. Kanclerz uchylił się jako nieuprawniony do działania. Marschall, już zdrów, mówił coś o socyalistach i o pokoju, z czego widać, że nie chciał powiedzieć wszystkiego. Tausch czeka na proces. Koeller ma świadczyć. Rząd chciał go posłać w Poznańskie na miejsce Möllendorfa, ale wybraniec odmówił. Nadprezydentura wkrótce zawakuje.

W Lizbonie nowy gabinet.

Uniwersytety w Rzymie, Neapolu i Macerata zamknięte.

Sejm galicyjski już 13 b. m. kończy swe czynności.

Senat waszyngtoński odroczył rozprawy nad traktatem z Anglią o stałe rozjemstwo. Komisya usunęła króla szwedzkiego jako stałego arbitra.

ZYCIE SPOŁECZNE.

Z POWODU NOWEJ POLITECHNIKI

W ubiegłym tygodniu na utworzenie politechniki w Kijowie złożono znaczne fundusze: znany przemysłowiec cukrowniczy, Tereszczenko 150,000 rs., rada miejska 300,000 rs., giełda 72,000 rs. Tak więc nowy zakład naukowy ma już zapewnione podstawy. Zaznaczamy nietylko doniosłość powstania ogniska nauki specyalnej, lecz zarazem i tę znamienną gotowość pomocy, z jaką pospieszyły instytucye i osoby prywatne. Czyn powyższy nie jest filantropią, nie jest nawet chęcią zdobycia rozgłosu i uznania ogółu. Taki p. Tereszczenko, milioner, właściciel wielu cukrowni i majątków ziemskich w kraju czarnoziemnym, bez wahania asygnuje ze swojej kasy 150,000 rs., tj. sumę, która w oczach społeczeństwa ubogiego jest olbrzymią, w budżecie zaś ofiarodawcy — drobnostką. Ta zaś drobnostka przyniesie przemysłowi nieobliczone korzyści.

Cukrownictwo w guberniach południowo-zachodnich i po za Dnieprem w ostatnich latach rozwinęło się ogromnie i ciągle wzrasta, coraz bardziej wypiera szczątki małych przedsięwzięć, drobnych usiłowań. Tego rodzaju olbrzymy, jak Tereszczenko, Brodzki i inni, skupili w swoich rękach przemysł wielki w całem znaczeniu słowa i są bardzo troskliwi o rozwój interesów, o postępy możliwie najszybsze na tem polu. Ażeby wytwórczość była owocna i dokładna, trzeba na jej usługi oddać armię fachowców z wyższą wiedzą specyalną i praktyką. W obrębie państwa rosyjskiego cukrownictwo posiada jeszcze spory procent takich specyalistów, sprowadzanych z zagranicy i, oczywiście, dobrze płatnych. Fabrykanci z powyższej dziedziny żywo odczuwają brak dostatecznej liczby pracowników rzetelnie ukształconych. Otóż stworzenie politechniki w Kijowie wynikło z rachuby jasnej i dokładnej. Wybór miejsca bardzo trafny, bo w ognisku produkcyi. Kijów jest wybornym punktem dla rodzin, opierających swe istnienie na cukrownictwie w gub. Kijowskiej, Wołyńskiej i Podolskiej i na znacznym obszarze zadnieprzańskim.

Twórcy zaś zakładu naukowego i tę okoliczność niewątpliwie wzięli w rachubę. Siły fachowe będą się wytwarzać przeważnie z łona tych rzesz, które już dźwigają swoją pracą przemysł cukrowniczy. Tym sposobem przyrosną one zupełnie do tego odłamu produkcyi na długie lata, będą przekazywać swoją pracę i jej sprawność udoskonaloną z ojca na syna, uwolnią przedsiębiorców od troski wyszukiwania cennych sił fachowych na różnych rynkach; bo oni będą znali wybornie swoje „rodziny,“ ich temperamenty, zdolności umysłowe, zalety charakteru, energię, będą mogli zgóry obliczyć, jakie owoce przyniosą im ukształceni w przyszłości synowie ojców, których, jako swych długoletnich pracowników, dobrze już znają i którzy zapewne przekażą dzieciom swe cechy dodatnie.

Nie mówimy, że przemysłowcy z całą jasnością rządzą się taką rachubą. Tkwi ona w ich umyśle napół świadoma, ale instynktowo odczuta. Umieją oni grać na instrumencie swych potrzeb dzięki długoletniej wprawie i zdolnościom wrodzonym, jak muzyk gra na fortepianie, machinalnie dotyka klawiszów, nie zdając sobie sprawy z nazwy tonów, a jednak nigdy nie popełni rozdźwięku. Nie popełnią go także cukrownicy w swoich interesach, a zarazem zjednają sobie liczne rzesze rodziców i młodzieży, która kołacze częstokroć bezskutecznie do różnych zakładów naukowych. Będzie to całkiem naturalne, jeżeli cukrownicy zapewnią osobne przywileje w politechnice dzieciom swoich pracowników; jeżeli uboższym ułatwią tanią lub nawet bezpłatną naukę, stworzą stypendya i nagrody.

Programu politechniki dokładnie nie znamy; wiemy tylko, że ona będzie wytwarzać fachowców w szerokim zakresie dla obsługiwania różnych gałęzi przemysłu. Ponieważ cukrownictwo posiada dziś na swoje potrzeby i pola doświadczalne, i laboratorya chemiczne, i pracownie bakteryologiczne, buduje machiny, koleje żelazne, mosty itd., więc politechnika da im we wszystkich tych zakresach „swoich ludzi“: budowniczych, maszynistów, technologów, różnych konstruktorów, chemików, bakteryologów itd. Wzmocni podstawy wielkiego kapitału, zapewni mu lepsze odsetki, dzięki produkcyjnej i pewnej pracy fachowej, a zarazem ułatwi młodym ludziom istnienie.

Takie celowe współdziałanie przemysłu w rozwoju szkolnictwa fachowego za granicą jest zjawiskiem stałem i powszednim. Wielkie firmy przemysłowo angielskie wybierają z rodzin swych robotników dzieci najzdolniejsze i najpilniejsze, poczem kształcą je na dozorców, maszynistów, grawerów itd. Fabrykanci z Mülhausen pozakładali sami szkoły specyalne, ażeby w nich z warstw robotni-

---

NAPOLEON ROUBA.

TRYPTYK.

Marszałkowicz przywołał kelnera dla zamknięcia rachunku. Sam zaś do szklanki z wodą sodową wlał kilkanaście kropel z flaszeczki, którą miał przy sobie, i pośpiesznie wypił.

— Co pan pił teraz? czy to lekarstwo?

— O! nie, to środek bardzo tajemniczy.

— Proszę mi pokazać ten flakonik—poprosiła.

Kiedy jej podał, czytała:

— *Cola, coca, condurago*... co to jest? Nie rozumiem.

— To klucz cudowny... do serc niewieścich.

— Czy tak? A więc niech pan schowa, panu się to bardzo przyda — odparła rezolutnie Józia.

— A ty, Józiu, jeszcze jeden kieliszeczek likieru?

— Dobrze — odpowiedziała bezmyślnie i wypiła.

Zaczęli się ubierać. Jemu się zdało, że ona ma źle przypięty bukiecik fjołków przy staniku, więc narzucał swoją pomoc, to znowu chciał poprawiać sam stanik, ona go odtrąciła dość gwałtownie, ale idąc po wschodach chwiała się i prawie zawisła na jego ramieniu.

Wsiedli do dorożki i polecieli.

— Panie! proszę... niech pan każe spuścić nakrycie powozu — błagała.

On nie usłuchał.

— Dokąd my jedziemy?

— Do mnie — odparł.

— Panie, ja wyskoczę! — lekko krzyknęła.

— Galopem! — rzucił on w odpowiedzi rozkaz woźnicy.

Już dniało. Lecieli przez las, przez rzekę i wpadli na bruk miasta. Powóz, w szybkim biegu podrzucany gwałtownie, oddawał wstrząśnienia jadącym.

Józia czuła się orzeźwioną tym pędem powietrza, które wpadało do powozu.

Obejrzała się na towarzysza i spostrzegła jego szkliste oczy, nieruchomo w siebie wlepione. Gwałtownie rzuciła się w drugi kąt powozu a głowę przechyliła na zewnątrz, aby chwytać ożywcze powietrze wiosennego ranka.

— Ty moja, ty już moja!.. — rzęził pijany i rozbity marszałkowicz.

Stanęli przed drzwiami hotelu. Na spotkanie wybiegł szwajcar.

Wysadził zdechlaczka i zaprowadził go do ławki w sieni hotelu, a potem wrócił po dziewczynę.

Ale ona niespodziewanie wyskoczyła w drugą stronę powozu i w milczeniu poszła śpiesznie ulicą.

Hotelowy cerber nie przewidział podobnego wypadku, więc nie wiedział, co ma robić: gonić, czy machnąć ręką. Wybrał ostatnie.

— Albo głupia jakaś, albo i mądra! — powiedział, zwracając się do dorożkarza.

Józia zaś coraz bardziej przyśpieszała kroku i dążyła do... swojego panieńskiego pokoiku na przedmieściu.

* * *

Musiała przechodzić pod tą Bramą.

Machinalnie prawie upadła na kolana na kamienną posadzkę w galeryi przy wschodach, wiodących do stóp tej patronki, której wspomnienie przechowała jej pamięć z lat dziecinnych.

Zapadła w głęboką zadumę; po chwili stłumione łkania dobyły się z jej piersi, aż w końcu spokojniejsza wzniosła oczy

czych stworzyć sobie dostateczną liczbę fachowców, obeznanych z przedmiotem. Szczególnie zaś chemia jest bardzo faworyzowana przez przemysłowców i wszelkie instytucye interesowane. Rada miejska w Paryżu założyła szkołę dla chemików i fizyków (na wzór mülhauseńskiej), do której są wybierani uczniowie z najpilniejszych i najzdolniejszych dzieci robotników ze szkół komunalnych. Zakład ten udziela nauki bezpłatnej, nadto, daje uczniom zapomogi miesięczne. Tym sposobem przemysłowcy wytworzyli sobie niedrogie, a cenne siły fachowe.

Kijów i jego szerokie okolice, na wzór zagraniczny, poszły dalej, niż wszelkie inne miasta i prowincye. Jeszcze w roku przeszłym stowarzyszenie kupców kijowskich przedsięwzięło starania o szkołę handlową i wyjednało pozwolenie ministeryum oświaty. Program nowego zakładu jest mniej więcej taki, jak warszawskiej szkoły Kronenberga. Kurs nauk trzyletni. Na pierwszy mają wstęp kandydaci, którzy ukończyli cztery klasy gimnazyum filologicznego lub realnego i złożą egzamin dodatkowy z języków nowożytnych. Niezależnie od tego kursy handlowe dla dorosłych, niższe i wyższe, dadzą możność odpowiedniego ukształcenia się tym, którym wiek nie pozwala przekroczyć progów szkolnych. Mogą więc posiąść na niższym: arytmetykę handlową, buchhalteryę, korespondencyę i towaroznawstwo; na wyższym, oprócz tych przedmiotów, języki: niemiecki, francuski i angielski, towaroznawstwo w szerszym zakresie, prawo handlowe, ekonomię polityczną i inne przedmioty specyalne. Tak więc kupcy kijowscy zrozumieli wybornie swój interes i postarali się o uprzystępnienie nauki, zwiększającej produkcyjność pracy, nietylko młodzieży, lecz i tych wszystkich, którzy w wieku młodzieńczym nie zdążyli nabyć niezbędnej sumy wiadomości.

U nas różni przemysłowcy i przedsiębiorcy, rzecz dziwna, mniej jasno rozumieją własny interes i jeżeli radzą o szkole, to tak, jak gdyby uważali przyczynienie się do niej za ciężar społeczny lub obowiązek filantropijny. Przed kilku dniami np. w sekcyi handlowej poruszono ponownie sprawę szkoły młynarskiej i większość oświadczyła się nie za szkołą odrębną, lecz tylko oddziałem młynarskim, który zaproponowano przyczepić do niższej szkoły technicznej p. Święcimskiego. Taniej wyniesie!.. Zapewne to samo będzie w przyszłości z nauką chmielarstwa (gdy nareszcie powstanie Towarzystwo chmielarskie) i z innemi dziedzinami wiedzy fachowej. W Królestwie Polskiem piwowarstwo wybitne miejsce zajmuje w stosunku do innych dzielnic państwa; a jednak o szkole pomyślano dotąd tylko... w Moskwie. U nas fachowcy, pracujący w browarach, przyszli z wiedzą zdobytą za granicą; obcokrajowcy zaś dotąd jeszcze mają pierwszeństwo. Znaczna część specyalistów w tym zawodzie składa się z samouków, co, obok spekulacyi przedsiębiorców, może właśnie jest jedną z przyczyn, że piwo nasze coraz bardziej się psuje.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 9 lutego.

Szczególni obrońcy szczególnego honoru. — Rozwiązanie giełd. — Szerzenie niemczyzny. — Cukrownictwo i gorzelnictwo. — Towarzystwo przyjaciół nauk. — Zamiast *Rocznika* — *Kwartalnik*. — Rozwiązanie Towarzystw ludowych. — Bractwo trzech liter. — Pompa miłosierdzia publicznego. — Nowe pismo.

Nowa ustawa giełdowa i regulamin ministra, zapewniający rolnikom udział w zebraniach i w ustanawianiu cen zboża, wywołały ostre wystąpienia spekulantów. Prasa, przyjazna giełdzie lub pozostająca na jej usługach, oburza się na ten rodzaj kontroli i widzi w niej uchybienie honorowi kupców zbożowych. Ci szczególni obrońcy szczególnego honoru milczą o tem, że tu chodzi o wytwórców i spożywców (rolników i młynarzy), którzy przecież stanowią większość w stosunku do kupców. Starają się także pominąć główne pobudki milczeniem, tj. że ustawa i regulamin miały na względzie zapobieganie nadużyciom handlu zbożowego.

Agraryusze niemieccy zażądali, aby władze zamknęły giełdy prywatne, utworzone już w roku bieżącym (są to właściwie stowarzyszenia handlarzy). Władze jednak, nie widząc jeszcze rozwielmożnienia spekulacyi w tych nowych ogniskach, nie dają posłuchu owym nawoływaniom. Zresztą stowarzyszenia te niewątpliwie same przez się upadną; zmiażdży je potęga giełdy. Spekulanci giełdowi, zagrożeni ze strony rządu, nie poprzestali na gołosłownych protestach, lecz urządzili formalne bezrobocie, czyli rozwiązanie giełd. Natomiast postanowili zbierać się gdzieindziej i prowadzić handel bez uświęconych form i zwyczajów giełdowych, tj. bez pośrednictwa maklerów urzędowych i bez urzędowego notowania cen.

Utarczka ta odbiła się i na poznańskich stosunkach handlowych. Zawierano tu bowiem tranzakcye prawie wyłącznie według notowań giełdy berlińskiej. Gdy tę zamknięto, kupcy bądź wstrzymali się zupełnie od wszelkich tranzakcyj, bądź też, chcąc wyciągnąć korzyść dla siebie z bezrobocia w Berlinie, ofiarowali ceny niesłychanie niskie. Dla wytwórców rolnych jest to okropne, gdyż bardzo mała ich liczba może wyczekiwać zmian i warunków przyjaźniejszych. To są dotychczasowo owoce agitacyi agraryuszów niemieckich.

Działają one jeszcze i w innym kierunku: w szerzeniu niemczyzny na wschodnich kresach państwa niemieckiego. A co ważniejsza, że doczekali się w tej mierze uznania i poparcia rządu. Owi działacze nie przebierają w środkach, ażeby wykazać, że na kresach wschodnich rozwija się niebezpieczny żywioł rewolucyjny; że zaś ta denuncyacya znajduje wiarę w sferach właściwych, dowodzą liczne rozporządzenia policyjne i administracyjne. To też żywioł „ugodowy," niedawno dość wyraźny, przycichł obecnie zupełnie.

Wracając jeszcze do spraw ekonomicznych, musimy kilka słów powiedzieć o dwu gałęziach przemysłu, związanych z rolnictwem: cukrownictwie i gorzelnictwie. Jest powszechne mniemanie, że stan rolnictwa pogorszył się między innemi skutkiem tego, że w roku przeszłym zmieniono podatek od cukrownictwa. Reforma bowiem pośrednio utrudnia rozwój uprawy buraków. Dotychczas produkcya ich wykazywała stałe postępy, o czem świadczą następujące cyfry: w r. 1888/9 cukrownie poznańskie przerobiły ogółem 447,000 ton buraków; w r. 1890/1—705,000, r. 1893/4—802,000 ton. Przy tem buraki

---

w górę z wyrazem szczerego żalu i skruchy...

Nad nią, w górze, jaśniał napis dużemi literami, którego nie rozumiała, ale przechodziła oczyma oddzielne litery, chwytając ich kształty: *Mater misericordiae! Sub tuum praesidium confugimus.*

Te litery przemawiały do niej w sposób tajemniczy i błogi, więc nie odrywała od nich oczu, a one ją usypiały, pogrążając w stan drogich wspomnień z przeszłości, z którymi czuła się silnie związaną na szczęście nierzerwanym jeszcze szlakiem niewinności.

Wsparta ręką o kamienną ławę, na kolanach, usnęła...

Obudził ją turkot kół i miarowe uderzenie kopyt końskich. Ulicą zwolna posuwał się wóz, a w nim siedziała otulona chustką kobieta, trzymająca dziecię na kolanach, a obok niej młody przystojny brunet w porządną burkę ubrany.

Przetarła oczy i jeszcze raz spojrzała, spotykając wzrok mężczyzny.

— Kazik!

— Józia!

Wóz stanął i młody człowiek podskoczył do dziewczyny, witając ją z gwałtowną radością.

— Wszak Józia? A to niespodziewane spotkanie! Co tu robi w tej porze?

Dziewczę spłonęło się gwałtownie.

— Szukam pociechy.

Młodzieniec odparł z żywem współczuciem.

— To Józi jest źle? Józia jest tak smutna.

Kobieta z wozu patrzyła na nich z zajęciem.

— Kto to? — pytało dziewczę zaniepokojone.

— Czy nie poznaje? To Janowa z Domkiem, bratowa... Biedna ciężko chorowała, lecz zmogła; zabieram ją na wieś i nie puszczę, aż wróci biedny nasz Janek...

Dziewczynie łzy strumieniem puściły się z oczu.

— Jakiś ty dobry, Kazik! Niech ona jedzie, będzie jej tam dobrze u was, między swoimi, ja jej prawie zazdroszczę...

Chłopiec radośnie błysnął oczyma i chwycił ją za rękę.

— Czy to prawda? Więc proszę jechać... Ot, zaraz siadać na wóz i jechać.

Józia cała stanęła, jak w ogniu.

— Prawiem gotowa — szepnęła cichutko.

Wtedy Kazik naraz posmutniał i patrzał na nią długo z tajoną boleścią.

— Proszę mi powiedzieć... Niech Józia powie tak szczerze, a pod przysięgą nawet, czy...

Reszta słów uwięzła mu w gardle, a dwie łzy zabłysły pod powiekami.

Dziewczyna odgadła jego mękę, domyśliła się słów niedomówionych, i choć wstyd ją ogarnął okropny, ale czuła się pociągniętą ku temu Kazikowi coraz więcej całą siłą świeżości uczucia i niewinności.

I jej atoli zabrakło myśli i słów.

— Czy ja nie doświadczę żadnej krzywdy od Józi?

— Nie.

— Czy, wioząc Józię, zawiozę ją dla siebie? — zapytał już śmielej, pochylając się ku dziewczynie.

— Może.

Chłopiec chciał krzyczeć i płakać, lecz się opamiętał.

— Niech Józia idzie przez miasto chodnikiem, a ja muszę być przy koniu.

Ruszyli niezwłocznie i tak posuwali się aż do rogatki, gdzie zatrzymali się dla ostatecznej narady.

Józia zbliżyła się do bratowej, wymizerniałej i smutnej kobieciny, i przygarnęła się do niej w serdecznym uścisku, przy którym obie rozpłakały się.

poznańskie, zdaniem rzeczoznawców, zawierają szczególne zalety naturalne, które robią to, że podwójny centnar daje 14,43 kilogramów cukru.

Gorzelnicy również narzekają na pogorszenie warunków, dzięki różnym przepisom, kierującym nawet techniczną stroną wytwórczości. Smutek rozpostarł się szeroko nad ziemiaństwem, bo gorzelnictwo daje mu w znacznej części podstawy. R. z. w całem W. Ks. Poznańskiem liczono 445 takich gorzelni rolniczych. Wytworzyły one 487,000 hektolitrów spirytusu.

W poprzedniej kronice wspominaliśmy o zmianach w zarządzie Towarzystwa przyjaciół nauk. Obecnie słów kilka poświęcić musimy samej instytucyi, a przedewszystkiem jej podstawom: funduszom. Zdaje się, że ulegną one uszczupleniu. Seweryn hr. Mielżyński zapisał Towarzystwu rentę w wysokości 6,000 marek zahypotekowaną na dobrach miłosławskich. Otóż przeszły one niedawno w ręce p. Józefa Kościelskiego, który jako człowiek praktyczny, nie chcąc płacić stosunkowo wysokiego procentu, postanowił oczyścić hypotekę. Ponieważ sumy nie można będzie nigdzie umieścić na takim procencie, jaki otrzymywano dotychczas, więc oczywiście dochody Towarzystwa muszą się zmniejszyć.

Ze sprawozdania zarządu dowiadujemy się, że najpomyślniejsze warunki rozwoju posiada połączony wydział przyrodniczy i techniczny, liczący obecnie około 150 członków. Historyczno-literacki, archeologiczny i lekarski istnieją jako tako; najmniejszą zaś ruchliwością odznaczają się prawniczy i ekonomiczny.

Dla tak zwanych „mólów" bibliotecznych może nieobojętne będzie parę szczegółów o księgozbiorze Towarzystwa. Uporządkowano tam bogaty zbiór listów i korespondencyj prywatnych, pochodzących z archiwum rodzinnego Łuszczewskich. Są między innemi korespondencye historyczne, tudzież inne, niepozbawione znaczenia literackiego i społecznego, np. B. Kicińskiego, Tadeusza Czackiego, biskupa łuckiego i metropolity kościoła katolickiego w Rosyi, ks. Kacpra Cieciszowskiego itd.

Uporządkowano także obfity zbiór wykopalisk przedhistorycznych Władysława Jażdżewskiego. Galeryę obrazów obdarzono kilku cennemi pracami.

Pozostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć o *Roczniku* Towarzystwa. W wydawnictwie tem postanowiono wprowadzić zmianę, tj. nadać mu więcej ożywienia i uprzystępnić szerszej publiczności. W tym celu zamiast roczników postanowiono wydawać kwartalniki. Pierwszy ukaże się już w kwietniu. Najświeższy *Rocznik* dwunasty zawiera między innemi następujące prace: Samuela ze Skrzypny Twardowskiego „Miscellanea selecta," przez d-ra A. Czachowskiego; „Zarys dziejów szkoły lekarskiej w Sabernie" przez d-ra Wacława Zarembę, „Angielscy poeci a przyroda" przez d-ra Stanisława Karwowskiego, „Szczątki kaszubskie w prowincyi pomorskiej," szkic historyczno-etnograficzny, przez A. J. Parczewskiego, „Masowita," słowniczek wyrazów gwary mazowieckiej, wydany przez d-ra Bolesława Erzepkiego. Oczywiście treść taka bardzo ciekawa dla niewielkiej liczby specyalistów, nie może zainteresować szerszej publiczności.

Wyjrzawszy z po za szpargałów, listów, książek biblioteki, z po za *Rocznika* Towarzystwa i sięgnąwszy do kroniki bieżącej życia narodu, czujemy ciężar i ból, który tem jest większy, im dotkliwiej doznajemy arogancyi i brutalności niższych wykonawców władzy pruskiej. Rozwiązały one już mnóstwo zebrań ludowych w Prusiech Zachodnich dlatego, że prowadzą rozprawy w języku polskim.

Bractwo trzech liter, czyli „hakatyści" za pośrednictwem swego organu *Die Ostmark* ogłosiło ciekawe dane, dotyczące rozwoju tego związku. Posiada on już 36 filij w całem Księstwie, liczących 3,490 członków. W Prusiech Zachodnich istnieje takich ognisk 20, podtrzymywanych przez 1,580 członków. W innych prowincyach Prus jest 1,062 członków. Ogólna tedy liczba „hakatystów" urosła do 6,132. Na wsparcia przemysłowców, kupców i innych wydano w postaci pożyczek lub darowizny 368,086 marek.

Cyfry same jeszcze nic nie mówią bez przykładów działalności tego związku. Oto jedna próba: Niedawno na zebraniu w m. Pile (W. Ks. Poznańskie) na zebraniu filialnem Towarzystwa, poruszono „żywotny" i „doniosły" fakt: pewien lekarz miejscowy pisuje recepty *po polsku*; aptekarz zaś *Niemiec*, według tych wskazówek oznacza sposób zażywania lekarstw także *po polsku*! Koniec świata!..

Na zbliżający się post zapowiedziano już szereg odczytów, tę stereotypową pompę miłosierdzia publicznego, która z serc ludzkich będzie wysysać miłość dla bliźnich, zamieniać ją na monetę zdawkową i następnie osuszać łzy nędzarzy. Będzie to zarazem pompa, tłocząca „wiedzę" i.. zapatrywania polityczne do głów słuchaczów. Dr. Witold Skarżyński wygłosi z katedry rzecz o polityce koła w sejmie pruskim. „Wiedzę" zaś siać będzie śród publiczności p. Tarnowski.

Za parę tygodni zacznie wychodzić w Poznaniu nowe pismo p. t. *Jutrzenka*, poświęcona sprawom szerzenia wstrzemięźliwości.

st.

LISTY Z PARYŻA.

Zgon teatrzyku Czarnego Kota.

Gdy omnibus, zdążający ku placowi Pigalle, wygramolił się na połowę Montmartru, należało zeskoczyć i wejść w jedną z bocznych ulic. Po kilku minutach stałeś przed dwupiętrowym domem, odrazu wpadającym w oczy. Uderzała nieprawidłowość w jego budowie, okna nieregularnie ustawione były po większej części barwne, nad bramą, umieszczoną w tej samej płaszczyznie, co dom, wznosił się, nie wiadomo po co, ostry, kończasty daszek. Jego wierzch oświetlała fantastycznie piękna latarnia. Jeśli przechodzień patrzył na budynek w dzień, prędzej jeszcze, niż tamte szczegóły, spostrzegał na froncie całą kawiarnię. Po obu stronach wejścia siedziały duże koty z aureolami około głów, nad pierwszem piętrem usadowiony był znowu kot, otoczony ogromnym pękiem promieni. Wszystkie rzeźbione z talentem i czarne.

Był to teatrzyk Czarnego Kota.

Powstanie swoje zawdzięczał on biedzie cyganeryi paryskiej. Rudolf Salis, szlachcic, znający imiona swoich przodków od dwunastego stulecia, z zawodu malarz, nawet na farby nie mógł pędzlem zarobić. Założył wprawdzie, jak godziło się „młodzieńcowi, wzbudzającemu świetne nadzieje," zaraz po przybyciu do Paryża, nową szkołę malarską, nazwaną „wibrującą, czyli tęczowo-obalającą" (!) — *école vibrante ou irido-subversive* — ale współzawodnictwo tej szkoły nie obaliło nikogo. Produkowała ona tylko stacye krzyżowe, zamawiane zresztą nadzwyczaj rzadko. Jeśli niebo zesłało podobne błogosławieństwo na gromadkę zbitą około Salisa, robotę uskuteczniano jak najszybciej: René Gilbert malował twarze, Wagner ręce,

---

Kazik niecierpliwił się widocznie żądzą natychmiastowego działania. Bał się, czy projekt wyjazdu Józi nie jest tylko chwilową zachcianką.

— Lecz jakże ona tak odjedzie? Cóż stanie się z jej rzeczami? Toż przecie nie może jechać w takiem ubraniu w drogę o mil czternaście? — dręczyła go Janowa, co chwila rzucając spokojne i praktyczne rady.

Chłopiec rozpaczał.

— Rzeczy mógłby zabrać stryjeczny, który jest ze mną, bo ja przyjechałam aż w trzy wozy; niechby jeno Józia dała kartkę i adres, a na nią możebyśmy poczekali u Bramy... Możeby wreszcie kupić, co trzeba. Pieniądze to fraszka, niechby już te jej rzeczy przepadały!

Oczyma serdecznej tęsknoty, ukrywanej i zwalczanej przez trzy długie lata, obejmował dziewczynę i błagał o łaskę, o pewność, o zmiłowanie...

Józia milczała, a Janowa rzucała jedną myśl po drugiej, sama zbijając je i plącząc się coraz bardziej w kłopotliwym chaosie.

— To jedźmy już, Kazik! — zaproponowała dziewczyna półgłosem i była gotowa siadać na wóz.

Janowa z dzieckiem uparła się, aby się przesiąść na drugi wóz, jadący za nimi, czemu Kazik nie próbował się sprzeciwiać.

Za chwilę już Józia siedziała na słomie okrytej kilimkiem, on brał w rękę lejce, a drugą trzymał ją za rękaw żakietu.

Posuwali się krokiem, bo droga była piaszczysta i pod górę i trzeba było oszczędzać konia.

Dziewczyna miała na głowie strojny, fantazyjny kapelusz, którym wiatr wnet zaczął szarpać.

— W drodze będzie z tem bieda, a u nas na wsi to nieprzydatne — zrobił uwagę chłopiec, pieszcząc Józię spojrzeniem.

— To rzucę! — odparła śmiejąca się i rozradowana, kręcąc się na siedzeniu.

Myślał, że żartuje tylko; a kapelusz już leciał, porwany wiatrem i zawisł na drzewie ogrodu, który mijali.

— Nie szkoda Józi? — zapytał nieśmiało, zatrzymując konia.

— Ani trochę, bo ty mi kupisz chustkę— nieprawdaż?

Chłopiec skoczył do Janowej i wrócił za chwilę, niosąc w ręku chustkę wełnianą.

— Mój ty skarbie złoty! — modlił się zcicha, kiedy ona okrywała się starannie.

— Przywiozłom do miasta na trzech wozach wędliny i masło, które skupiłom na handel w naszej okolicy, a wiozę sobie z miasta... taką oto babulkę, którąbym rad dźwigał na ręku aż do samego domu.

Dotknął jej ręki, okrytej glansowaną rękawiczką.

— Rzucić i to! — żartował, wskazując na rękawiczki.

Józia spełnia jego żądanie i śmieje się głośno, widząc jak psy chwyciły rękawiczki i szarpią je zajadle.

— Józiu, moja Józiu! — szepce chłopiec w szale upojenia, przypadając ustami do rąk dziewczyny.

Za chwilę już z tym despotyzmem prawdziwego uczucia, które czuje w piersi, zdejmuje burkę i otula nogi dziewczęcia, obute w płytkie pantofelki miejskie.

Na szczycie wzgórza rzucając ostatnie spojrzenia murom miasta, już ozłoconego wschodzącem słońcem, przytulili się do siebie i żwawo pomknęli po szerokiej drodze, bo pilno im było do nowego życia.

KONIEC.

Antonio La Gandara draperye, Salis zaś tło i krajobraz.

Nareszcie zapanował taki brak wszelkiej monety, że mistrz i uczniowie mimo wzajemnego afektu musieli rozejść się. Rudolf w dziurawym płaszczu i butach bez podeszew wrócił do ojczystego domu. Papa, gorzelnik w Châtellerault, odkarmił syna, lecz gdy ten pojechał do Paryża, fortuna nie złożyła mu wizyty. I byłaby go nigdy nie odwiedziła, gdyby nie wpadł na szczęśliwy pomysł.

Oto zyskawszy od ojca małą pomoc, postanowił założyć dla swojej braci w cyganeryi szynk na Montmartrze. Chodziła gdzieindziej pić piwo, kawę lub absynt, czemu nie miałaby przychodzić do niego? Nie omylił się. Goście ze świata artystyczno-poetyczno-muzykalnego poczęli zbierać się u niego licznie. Wygrażająca starym formom i formułom grupa nieuznanych „wielkości" poetycznych, przezwana hydropatami, weszła tam prawie pierwsza. Wkrótce około niej zgromadził się zastęp. Poddasza Montmartru dostarczyły nowych rekrutów. Więc obok Emila Goudeau, Maurycego Rollinata, Edmunda Herancourta znaleźli się Karol Cros, Alfons Allais, F. Champseur, Harry Alis i wielu innych. Piątki stały się dniami zabrań. Czytano własne poematy i powiastki, śpiewano, a ponieważ znalazł się kąt na fortepian, można było grać. Poeci i kompozytorzy w jednej osobie akompaniowali na fortepianie swoje piosnki, inni deklamowali. Słowem, utworzyła się wolna akademia cyganeryi, do której wstęp kosztował szklankę piwa.

Szybko „Czarny Kot" zyskał rozgłos wśród niezawodowców. Wspomniał o nim ten i ów kronikarz i prawidłowi „bourgeois" poczęli zaglądać do coraz bardziej osławianego szynku. Literaci i pisarze z wyrobionem już nazwiskiem długo pośredniczyli między dwiema warstwami, zarówno pisząc o piwiarni Salisa, jak i zaszczycając ją swojemi odwiedzinami.

Ona zaś rozszerzała się. Nadając formę regularniejszą swemu przedsięwzięciu, Salis urządził odpowiednio jeden pokoik lokalu i przemienił go na teatrzyk. Wejście tu kosztowało drożej, należało profanów opodatkować. Gość nienależący do pierwotnego grona, musiał, nawet napiwszy się czegoś w pierwszej sali, zapłacić kilka franków, aby wejść do drugiej. Popisywania się poetów i śpiewaków zamieniły się teraz na recytowania nie przed towarzyszami, ale przed publicznością. Rozumie się jednak, że pierwsza izba zachowała swój charakter miejsca schadzek w godzinach wolnych od popisów.

Zaczęto wydawać pismo humorystyczne „Czarny Kot." Zdobyło w niem pierwsze ostrogi kilku uzdolnionych humorystów: Alfons Allais, Jerzy Auriol, Maurycy Donnay. Drukowano tu wiersze liryczne początkujących poetów, a rysownicy, którzy obecnie posiadają duże imię: Willette, Steinlen, Robida, Pille, zdobili jego stronice.

Tymczasem napływ gości tak się zwiększył, że należało poważnie myśleć o rozszerzeniu lokalu. Salis wyparł wprawdzie swego sąsiada zegarmistrza i zajął jego pokoik, ale tego było za mało. Los zrządził tak szczęśliwie, że na ulicy Wiktora Massego opróżnił się dom, należący niegdyś do malarza Stevensa, o fasadzie udekorowanej przez niego w stylu starych drewnianych domków Norymbergi. Przesiedlenie się do nowego domu było bardzo uroczyste. Szwajcar z dwoma strzelcami po bokach otwierał pochód, potem szła orkiestra, za nią Salis w stroju prefekta pierwszego Cesarstwa. Czterech kelnerów we frakach Akademii francuskiej niosło piękny obraz Willette'a „Parce Domine." Następował portret Salisa, potem — tłum artystów.

Wieczór, który spędziłem w teatrzyku Czarnego Kota, należy do najmilszych moich rozrywek paryskich. Pierwszy pokój z publicznością przy piwie mógł nie zachwycać, chociaż publiczność ta posiadała wiele oryginalności. Ale oprócz tego były na ścianach piękne obrazy, wykonane przez przyjaciół Salisa, a ich oglądanie uprzyjemniało chwile oczekiwania widowiska. Wybiła nareszcie dziewiąta i właściciel szynku wezwał zebranych do wejścia na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się sala występowa.

Po małych drewnianych schodkach, w zwartym szyku — jesteśmy na górze. Ależ to sala prawdziwie piękna. Zawieszona obrazami o pomyśle i wykonaniu szczytnem: tu ogromny sabat kotów, nad nimi blady księżyc, tam przestrzeń mglista nad dachami wielkiego miasta, a w niej modlące się chóry upadłych dusz. Portrety i widoki, między nimi maski i znowu koty różnej wielkości, w różnych postawach i barwach. Równocześnie dla podniesienia oryginalności stale unikano symetryi; jeśli po jednej stronie obrazu umieszczono biust, to po drugiej wisi fotografia.

Ledwie zajęto krzesła, na przedzie sali zjawił się Rudolf Salis, blondyn, dość okazałej tuszy, z krótką brodą. Szykownie zawiązany niebieski krawat, ręce dla fanfarnady w kieszeni. Pełen humoru jął zapowiadać poszczególne części programu, charakteryzując z dowcipem śpiewaków i poetów, nie szczędząc aluzyj do stosunków współczesnych, ilekroć nadarzyła się sposobność. Tylko te jego zapowiadania przyciągały wielu.

Poeci zaś i humoryści dali ucztę arystofanesowską. Jedni czerpali tematy ze spraw bieżących: kpili z ministrów, śpiewali o wstydliwości Juliusza Simona, który wystąpił był wówczas razem z Bérengerem i innymi przeciw wybrykom młodzieży artystycznej, parodyowali wypadki dnia. Można było uśmiać się do rozpuku z „Podróży prezydenta," z drewnianego Carnota, z grubych sapiących prefektów i ich połowic, z głupoty prowincyonalnej. Wszędzie zaś za bogatą werwą kryło się ziarno ironii lub satyry. Inni potrafili ująć trywialne nawet motywy w formy nieraz żące — naprzykład Hyspa, autor ballady o doli i niedoli solitera.

Po śpiewach i deklamacyach nastąpiła druga część. W ścianie, przy której stał Salis, znajdowała się średnich rozmiarów płyta matowa. Scena teatru! Przyćmiewano lampę i ukryte za płytą osoby przesuwały po niej postacie wykrojone z kartonu. W zasadzie cienie chińskie, w istocie prawie żyjące osoby. Prawdziwie uzdolniony rysownik Henryk Riviere udoskonalił do tego stopnia pomysł pierwotnego teatru barakowego, uszlachetnił go i podniósł tak wysoko pod względem artystycznym, że zyskał ogólny poklask.

„Podróż prezydenta" była w ten sposób przedstawioną. W ciągu istnienia teatrzyku dano kilkanaście podobnych utworków. Były między nimi satyryczne i poetyczne, wesołe i podniosłe. Jednym z pierwszych: „Epopeja" napoleońska Carand' Acha.

Tym razem widziałem „Misteryum świętej Genowefy." Dotyczyło ono dziejów Paryża: za czasów huńskich król Atyla miał ustąpić z pod Paryża na prośby pobożnej służebnicy Pańskiej Genowefy.

Ciemność zaległa salę. A na jasnem tle wśród dźwięków pieśni objaśniającej ukazał się krajobraz o wschodzie słońca. Przezeń ciągną wieśniacy z narzędziami rolnemi, śpieszą kobiety i dzieci, idzie bydło. Genowefa, przędąc kądziel, pędzi trzodę.

W szeregu obrazów rozwijały się jej dzieje. Była pastuszką, potem pod wpływem widzeń ślubowała wieczystą służbę Bogu. Scena zakrwawiła się: jak jastrzębie lecą najeźdźcy z długiemi dzidami na lotnych koniach. Palą i mordują. Paryż obleżony przez nich chce się poddać, lecz Genowefa, która widziała w zachwyceniu świętych, proszących Stwórcę o ocalenie miasta, dodaje otuchy mieszczanom, wespół z niewiastami klęka na wzgórzu Mont Valérien i dzięki modłom nieszczęście jest odwrócone. Atyla po niedługim czasie opuszcza śpiesznie Francyę.

I to przeniesienie myśli w dalekie czasy, różne i mniej złożone i ta atmosfera sielanki i muzyka niezwykle melodyjna i poetyczność obrazów, ich artyzm i szczerość, wszystko tak podnosiło i rozmarzało, że nie widziałeś po wyjściu ani brudów bytu miejskiego, ani szpetności życia współczesnego wogóle. Miało się nad sobą przez długą chwilę kawał czystego błękitu..

Przed dwoma laty wyszedł zbiorek p. t. „Les gaités du Chat Noir" (Wesołości Czarnego Kota). Zawiera on w sobie cząstkę pieśni i nowel, śpiewanych w teatrzyku lub drukowanych w piśmie. Wybór uczyniony nie wydaje mi się najlepszym. Poprzedzony jest jednak przedmową Juliusza Lemaître'a, w której ów powierzchowny, ale czasami trafne sądy wydający fejletonista zaznaczył pokrótce znaczenie Czarnego Kota w dziejach literatury francuskiej. Odnowił on starą werwę „galijską," dał przytułek kierunkowi idealistycznemu, który teraz coraz mocniej rozwija się, zdyskredytował przesadny naturalizm za pomocą farsy, odświeżył karykaturę w piśmiennictwie i w rysunku. Jeśli więc słynny teatrzyk, który nietylko, że zwinięto, ale którego lokal nawet niedawno przez Salisa (głównie wskutek współzawodnictwa nowych, na jego kreacyi wzorowanych zakładów) rozebrano, nie ożyje, to w każdym razie zostawia on po sobie duże ślady.

W. Bugiel.

ANTISEMITYZM I ŻYDZI.

III.

Pod wpływem niejasno odczuwanej potrzeby antisemityzmu ekonomicznego, w braku wyraźnego celu i programu zaczęto u nas propagować handel, a raczej kramarstwo „chrześciańskie" (co najmniej profanacya). I co uczyniono na tej drodze? Pootwierano sklepiki po wsiach i miasteczkach, z których wzrostu możnaby się cieszyć, czytając artykuły tendencyjne, ale nie trzeba zaglądać własnemi oczyma. Zbankrutowani obywatele, wdowy po urzędnikach, licząc na poparcie współwyznawców, biorą się do zakładania szumnie nazwanych handlów. Dziś już można się im przyjrzeć i ocenić wpływ, jaki wywarły w ciągu swego kilkunastoletniego istnienia. Otóż, nie wyparły one bynajmniej i wyprzeć nie mogą kramarstwa żydowskiego, bo walka to zbyt nierówna, gdy z jednej strony staje zwinny, sprytny, przebiegły, posiadający stosunki handlowe, oraz inicyatywę, Żyd, po drugiej — ospały, niewyrobiony, nieprzywykły do ryzyka i liczący na życzliwość chrześcianina. W artykułach o nowootwieranych sklepikach tego rodzaju nie wspomina się, że tuż obok istnieje Żydek, dostarczający produktów kramowi chrześciańskiemu. Jak wszędzie, tak i tu spotykają się wyjątki, ale obserwując ogół, można dostrzedz łatwo, że ruch ten do niczego nie prowadzi. Może być, że Żydzi porzucą chwilowo wskutek tej konkurencyi skłonność do oszustwa, ale że walki zaniechać dziś nie mogą i nic ich do tego nie zmusza — jest rzeczą widoczną. To też cały ten handel chrześciański wywołuje tylko litość i pobłaża-

nie wśród wielkich kupców, którzy mu sprzyjają, a stosunek do niego odbiorców nosi zbyt długo wszystkie cechy filantropii. Znam miejsca, gdzie obywatelstwo stale przepłaca produkty spożywcze, chcąc wesprzeć ex-sąsiada, który sprowadza towary od Żydka z tegoż miasteczka. Prócz tego nienormalnego, a tem samem nietrwałego systemu zrodziła się warstwa faktorów żydowskich, wynajmujących spryt chrześciańskim przedsiębiorcom. Przyjeżdżają oni do Warszawy jako furmani, ale pod tym pozorem spełniają zadanie zupełnie inne. Faktycznie bowiem są oni bankierami i dostawcami wszelkich towarów, a więc prawdziwymi kierownikami, często zaś właścicielami całego kramu chrześciańskiego prócz szyldu. Tu dopiero występuje bezczelne korzystanie z okoliczności; mając bowiem zapewnioną życzliwość ogółu dla szyldu z końcówką „ski." Żyd drze skorę z kupca i jego klijenteli.

Bardzo mała liczba sklepików nie posiłkuje się filantropią lub wynajmowanym sprytem. Większość wśród niej stanowią Niemcy spolszczeni, ci zaś Polacy, co z zapasów wychodzą cało, bynajmniej dla społeczeństwa dobrego nabytku nie stanowią: stają się zbyt szybko Żydami katolickiego wyznania. Rodzący się typ chłopa-lichwiarza przecież za postęp uważany być nie może.

Wobec bezprzykładnego zdemoralizowania handlu, wobec pasorzytnictwa kupca-Żyda tworzy się u nas grunt podatny do przejścia ku dalszym formom pośrednictwa i powoli walka z żywiołem semickim przybrać musi postać walki z całym obecnym systemem handlu. Powodzenie stowarzyszeń konsumentów można uważać za zapowiedź dalszego postępu na tej drodze, którą obecnie za jedynie skuteczną uznać należy.

W miarę rozwoju stowarzyszenia te będą się jednoczyć i ogarniać coraz szerzej wszelkie działy handlu, a powoli dojdą do objęcia hurtownictwa. Zarząd lub zarządy takich stowarzyszeń będą zmuszone zawiązać stosunki bezpośrednio z wytwórcami, a wobec zmian, jakim ceny niektórych produktów podlegają, poniekąd spekulować na własną rękę; powoli nauczą się pływać w przemyśle, czuć, co się na rynku dzieje i z każdej okoliczności korzystać.

Żadne przepisy, krępujące lichwiarzy, nie usuną wyzysku wobec nędzy, od której u nas się roi. Lichwę znieść mogą tylko stowarzyszenia kas pożyczkowych, które zniżając procenty, pozbyć się będą musiały ociężałości dzisiejszej, ospałej procedury i absolutnego unikania ryzyka. Wogóle to ryzyko, o którem Żydzi myślą tak lekko, które obliczają zgóry, jest potężną bronią przeciw przedsiębiorstwom publicznym, odstręczającym utrudnioną formalistyką właśnie tych, którym służyć mają. Handel dzisiejszy musi być lekki, sprytny, wszystkowiedzący i sprężysty; ale dojść do tego mogą i instytucye zbiorowe. Już dziś w Warszawie istnieją banki, które ruchliwością swoją, uproszczeniem formalności w niczem nie ustępują bankierom prywatnym.

Konsekwentnie postępująca naprzód walka rządu ze zmiennością cen, która dziś już w przemyśle cukrowniczym wytrąca broń z ręki spekulantom, normując nastrój rynku i nie pozwalając, za pomocą zwiększania lub zmniejszania podaży, na przekraczanie pewnej zgóry określonej ceny, ułatwi bezwątpienia rozwój stowarzyszeń spożywców, zmniejszy bowiem znacznie klikę spekulantów pośredniczących, którzy dziś chińskim murem oddzielają konsumentów od producentów. A co z Żydami będzie? Te wszystkie zawody wysysające, spekulujące, szkodliwe i zbyteczne dają byt dziś całym falangom żydowstwa. Zatrudnienia te rugują z dniem każdym postęp ekonomiczny kraju.

Dziś Bankowi państwa pozostaje tylko kilka kroków naprzód (między innemi zniesienie uciążliwej procedury), aby obalić drobnych bankierów małomiasteczkowych. Reformy w cukrownictwie już dziś wzniecają panikę wśród spekulantów towarowych. W niedalekiej zaś przyszłości widzimy monopol wódczany. A reform tych lekceważyć nie można. Postępują one konsekwentnie i z czasem zaczną coraz głębiej przekopywać rolę naszego przemysłu i z coraz niższych jej warstw wydobywać pasorzyty.

Pomyślmy tylko, jaki procent dotąd tolerowanych rabusiów zepchnie monopol wódczany na bezdroża nietolerowane! Czy coraz częstszy udział Żydów w procesach kryminalnych nie wynika z powolnego usuwania ich od handlu wskutek rozwijającego się przemysłu fabrycznego, nieużywającego drobnych pośredników?

Żydów trzeba zmusić do pracy; inaczej wejdą na takie tory, na których, wobec jasnego zdeklarowania, czem są, walka stanie się radykalną. Konsekwencya to jasna i dawno wiadoma, ale czy uczyniono co dla tej ciemnej masy, którą całe wieki gnały ku przepaści tak, że dziś trzeba użyć kontrapary, grożącej strasznem rozbiciem? Czy ta podniesiona inteligencya i burżuazya żydowska uczyniła co nie dla Żydów, lecz dla ludzi?

Dotychczasowe szkoły rzemieślnicze ani w dziesiątej części nie zaspakajają potrzeby. Rękodzielnicy żydowscy uskarżają się, że cechy ich nie przyjmują; dlaczego dotąd nie założono towarzystw, łączących ludzi jednego fachu i roztaczających nad nimi kontrolę zawodową, usuwając tym sposobem fuszerkę, której Żydzi przeważnie hołdują?

Dlaczego dziennikarstwo żydowskie zamiast odpierać w mdły i śmieszny sposób napaści osobiste płytkiego antisemityzmu, nie postara się zapoznać ten tłum z prawdziwą przyczyną jego niedoli? Dlaczego tyle w niem pychy, a tak mało serca? Kto ten tłum dziś podnosi, umoralnia?

Według *Petersb. Wied.*, istnieje projekt nadawania Żydom działów gruntu. Gdyby projekt ten został urzeczywistniony, sfery, które mają obowiązek zajęcia się dolą ciemnej masy żydowskiej, utraciłyby najpoważniejszy pretekst do bezczynności. Atoli pamiętać one winny, że ustępstwa tego nie należy uważać za powrót Żydów na wieś, lecz pracę na roli; że powtórzenie dawnych funkcyj Żyda wiejskiego byłoby klęską, której skutków dziś przewidzieć nie można. Trzeba tę okoliczność mieć ciągle na uwadze, korzystać z reformy ostrożnie i zgóry z całą energią przeciwdziałać skutkom niepożądanym.

Antisemityzm dzisiejszy tak się przedstawia. Od tłumu, prześladującego kalekę, śmiesznego i złośliwego, powoli oddzielają się ludzie, widzący jasno chorobę społeczną i pragnący ją leczyć. Pierwszy liczy wielu wychrztów i odstępców, pośród drugich Żydów dotąd nie ma.

Z antisemityzmem tłumu walczyć powinno społeczeństwo polskie, bo rozwija on tylko niegodne człowieka instynkty; drugi walczyć będzie skutecznie dopiero wówczas, gdy w jego szeregach pojawią się Żydzi, znający swój lud dobrze, brzydzący się jego wadami i bolejący z tego powodu; Żydzi, kochający przybraną ojczyznę a nieodwracający się od ciemnej, nieszczęśliwej masy.

Benedykt Hertz.

LIBERUM VETO.

Rozporządzenia rządu pruskiego przeciw Polakom. — Krzyk uciśnionych. — Brak jednego głosu w chórze skargi. — Co to jest i jak powstała t. zw. „partya dworska," czyli stańczycy poznańscy. — Milczący bankruci. — Dwie miary. — Idea słowiańska i wszelkie idee w archiwum naszych czasów. — Inna moralność na każdej stacyi. — Wieloznaczność mowy ludzkiej.

Dwa są przedmioty, o których prasa europejska najczęściej rozprawia: o wojnie i Polakach. A zarówno między tymi przedmiotami, jak między temi rozprawami zachodzi pewne podobieństwo: wojna jest to takie widmo, które ma istnieć tylko w wyobraźni fantastów i spekulantów politycznych, dlatego wszystkie państwa ciągle przygotowują się do niej i niedługo będą musiały uzbroić nawet swoje niemowlęta, starców i kaleki; Polacy zaś jest to taki naród, który istnieje tylko w wyobraźni garstki marzycieli i szowinistów, dlatego nawet takie państwa, które „nie boją się nikogo prócz Boga," muszą przeciw nim stosować najenergiczniejsze środki „obrony." Zaiste, dziwny to gatunek ludzki! Nie ma go, a jest, nieliczny, a trzymający w strachu naród wielomilionowy, bezbronny, a groźny dla potężnego mocarstwa, zdeptany stopą olbrzymów a prowadzący politykę „zaczepną." Jak to się wszystko z sobą „rymuje," mówiąc językiem nowoczesnych Tannhäuserów, nie rozumiem; że się jednak rymuje, przekonali świat ministrowie pruscy, którzy nietylko poddali Poznańczyków nowej operacyi polityczno-galwanoplastycznej dla posrebrzenia ich obywatelstwem pruskiem, ale wykazali konieczność i pożytek takiej metody. Podczas walki, która się z tego powodu wywiązała w parlamencie i prasie, wybili oni kilka spróchniałych zębów swej starej konstytucyi, wydarli parę oplutych poprzednio kartek ze swego kodeksu i oświadczyli, że odkąd boginię sprawiedliwości wzięli na swoje utrzymanie, mogą z nią robić, co im się podoba. Pomimo rozbijania przeciwnikom głów maczugą nasadzoną krzemieniami, ci nie przestali krzyczeć, a ich skargi na dziki gwałt odbiły się echem w prasie niemieckiej, następnie galicyjskiej, wreszcie w naszej, a nakoniec w rosyjskiej. Nie będę regestrował, rozdzielał i oceniał zmieszanych głosów, zwrócę tylko uwagę na dziwny fakt, mianowicie na brak między nimi jednego, który powinien brzmieć najdonioślej. Mówię o milczeniu „stańczyków pruskich." Kiedy Polacy w sejmie niemieckim oświadczyli się — wbrew swoim sprzymierzeńcom sejmowym — za powiększeniem marynarki i wogóle sił zbrojnych państwa, kiedy p. J. Kościelski prawił mowy rozpalone do czerwoności ogniem patryotyzmu niemieckiego i kiedy na to całopalenie uczuć narodowych zdumieni bracia, przyjaciele i nieprzyjaciele szeroko otworzyli oczy, sternicy nowego kursu odpowiedzieli im temi mądremi słowy:

— Polacy pruscy nie mogą się spodziewać niczego od najżyczliwszych im stronnictw niemieckich; natomiast mogą wiele oczekiwać i otrzymać od monarchy. Powinni zatem wytworzyć partyę dworską, wejść w sferę siły przyciągania słońca rządu, stać się ciałem, krążącem naokoło niego.

Niektórzy z tych twórców nowego drogowskazu, zaszczycani biletami na bale cesarskie i ministeryalne, dawali do zrozumienia wysoce dyplomatycznemi i milcząco wymownemi minami, że oni swych zapewnień nie wysysają sobie z palców, lecz mają dla nich pewne podstawy

i mniej powiedzieć mogą, niż wiedzą. Dzięki tym półsłówkom i szeptom, zrobił się w dziennikach rumorek, a p. Kościelski, jako pasterz trzody, który otworzył drzwi owczarni dla wilka, otrzymywał nawet od pism warszawskich „tuszo“ bardzo mocne. Jakkolwiek drzewo wiadomości dobrego, zasadzone przez stańczyków poznańskich, długo nie wydawało żadnych owoców, pocieszano się uwagą, że ono jest jeszcze zbyt młode, ażeby mogło być płodne i nadzieją, że wkrótce rodzić zacznie. No, i wreszcie urodziło: rozporządzenia ministra oświaty, a następnie ministra spraw wewnętrznych, wyłączające Polaków pruskich z praw konstytucyjnych i zapowiadające im los Sodomy. Z tego właśnie powodu uderzono na gwałt w dzwony parlamentarne i dziennikarskie; ale gdzież się podzieli i co mówią przywódcy „partyi dworskiej“? Nie widzimy ich ani przy sznurach tych dzwonów, ani przy puszczonej w ruch maszynie prześladowczej, którą przecie powinniby powstrzymać siłą swych „wysokich wpływów i stosunków.“ Schowali się jak swawolne myszy przed kotem, siedzą w swych dziurach i milczą. Co to ma znaczyć? Czy ich oszukano, czy oni sami siebie złudzili?

Bynajmniej, oni tylko zdurzyli łatwowierny tłum, który im zawierzył.

Jest w Poznańskiem, jak zresztą wszędzie, kupka bogatych panów, którym się widzi, że majątek daje im nietylko prawa, ale rozum i talent do odegrania roli politycznej, którzy cisną się natrętnie do tronu w nadziei, że jego światło udzieli im trochę swego blasku. Ażeby usprawiedliwić to wciskanie się i podtrzymać urok swej ważności, udają oni mężów szczególnego zaufania monarchy, czynniki wybrane do spełnienia jego woli i wpływające pośrednio na losy społeczeństwa. Rozdęte lub dowolnie wytłomaczone jakieś łaskawe słówko, poczerpnięta u źródła i puszczona w obieg jakaś drobna wiadomość służy im za środek wzbudzenia wiary ogółu w ich polityczny charakter. Pomału karty z zaproszeniami na bale dworskie lub upominki z ręki dostojnych osób zamieniają się na wymowne dowody szczególnej miłości sfer najwyższych, dla której oni są kanałami, przeprowadzającymi ją na niziny rodzime. Jeśli zaś niecierpliwość, daremnie i zbyt długo oczekująca zmiany stosunków, upomni się o widoczne skutki zabiegów dworactwa, otrzymuje odpowiedź: czekać — wkrótce te skutki się okażą! Tak powstała partya stańczyków pruskich w Poznańskiem, która naturalnie jako jedyny plon ze swej uprawy i siewu zebrała sobie na pamiątkę trochę biletów balowych, podarków i wspomnień. Byłaby ta komedya trwała jeszcze dłużej, gdyby nagle maszyniści rządu nie spuścili na nią zasłony. Rozporządzenia szkolne ministra oświaty i nakazy ministra spraw wewnętrznych, polecające zamykać obrady stowarzyszeń prowadzone po polsku, wycofały z areny politycznej „partyę dworską.“ Śród ogólnej wrzawy dziś ona jedna milczy — czemu? Bądźmy dla niej wyrozumiali: bankruci mogą się tylko niemo przypatrywać spisywaniu ich upadłości; bądźmy przytem pewni, że znowu kiedyś przemówią, kiedy rozpoczną prowadzić... ten sam interes z odzyskanym kredytem.

Jako apostoł idei słowiańskiej *Warsz. Dziennik* przyklasnął postępowaniu ministrów pruskich i łącznie z nimi uznał dwa miliony bezbronnych Polaków pruskich za stronę „zaczepną“ i groźną dla 40 milionów uzbrojonych „po zęby“ Niemców. Pisma nasze wytoczyły mu z tego powodu proces moralny, stwierdziwszy jednocześnie, że w swych sądach politycznych zachowuje dwie różne miary: to samo poczytuje za występek Polakom pruskim, co za cnotę — Czechom. *Dziennik* nie wyparł się tej podwójnej buchalteryi i uczynił konsekwentnie. „Idea słowiańska“ była niegdyś monetą wysokiej wartości w świecie ludów tego szczepu; dziś stała się albo wytartym liczmanem, albo — w lepszych swych okazach — numizmatem, cenionym przez archeologów politycznych. Dawniej była ona gitarą, na której wygrywano pieśni miłosne i której dźwięku wyznawcy „braterstwa“ słuchali z zachwytem; dziś jest to stary, rozstrojony sprzęt, na którym szczypie jeszcze struny czasem romantyk polityczny. Więc co innego Czesi gnębieni przez Niemców, a co innego Polacy. Jedni i drudzy Słowianie, ale akcentowanie tej wspólności nie jest już „modern.“

Zresztą duch czasu nie tą jedną ideę rzucił między rupiecie — on zrobił to ze wszystkiemi. Niegdyś filozofowie drwili z sofistów wszelakiego rodzaju, mówiąc: jeśli ja ciebie zabiję, tom mężny, a jeśli ty mnie zabijesz — toś zbrodniarz; jeśli ja uwiodę twoją siostrę, tom bałamut, a jeśli ty moją — toś łajdak; jeśli ja ciebie okpię, tom zręczny, a jeśli ty mnie — toś oszust. I tak dalej. Dziś takie twierdzenia nie są satyrą, lecz dogmatem. Włóżcie w tłomoczek etykę, kupcie sobie bilet kolejowy na dobę jazdy i sprawdzajcie po drodze moralność ludzi: przekonacie się, że na każdej stacyi będzie ona inną. Na jednej wam powiedzą, że przewożenie pasażerów bez biletów jest ciężkiem wykroczeniem, a na następnej, że jest to godziwy zarobek ubogiej służby konduktorskiej. Pod wpływem tego zróżniczkowania się nawet cała mowa uległa zmianie znaczeń wyrazów. Jeżeli garść Polaków zacznie obradować w swoim języku na zebraniu garbarzów — to się nazywa „polityką zaczepną“ i „podkopywaniem fundamentów państwa,“ a jeżeli potężne państwo rozpędzi ową garść, jak jastrząb stado gołębi, to się nazywa „obroną.“ Zięba, szczygieł, słowik uznawane są za ptaki drapieżne, a krogulec, wrona i sroka — za śpiewające. Wobec tej różnoznaczności wyrazów, dziwić się tylko należy, że ludzie jeszcze mogą jakkolwiek porozumiewać się.

Poseł Prawdy

BADANIA NAUKOWE.

Władysława Smoleńskiego

„OSTATNI ROK SEJMU WIELKIEGO.“

II.

Autor w przedmowie oświadczył, że dzieło jego zamyka dzieje ks. Kalinki o sejmie czteroletnim, a zarazem też stanowi zapowiedź nowej, dalszej monografii historycznej. „Jak punkt wyjścia naszej pracy — powiada — wyjaśnia się stosunkiem jego do *Sejmu czteroletniego* (Kalinki), tak samo sposób zakończenia, usprawiedliwiony zamiarem przedstawienia historyi konfederacyi targowickiej: bez dzieła Kalinki i opracowania walki o konstytucyę w r. 1792, książka nasza byłaby do pewnego stopnia bez początku i *końca*.“

Owóż koniec ten, który nam Smoleński w przyszłości przyrzeka, już i obecnie, w „Ostatnim roku,“ dostatnio uwzględnionym został. Rozdziały, poświęcone zabiegom malkontentów, usiłujących w niwecz obrócić owoc reformatorskiej działalności sejmu wielkiego, otrzymały taką oprawę erudycyjną, takie bogato uposażenie faktyczne i naukowe, że razem wzięte wyglądają jako front w całości budowy. Partya postępowa, twórcy ustaw streszczonych w deklaracyi 3-go maja, zawczasu zdają się schodzić z widowni wypadków na plan drugi, ustępując miejsca swym przeciwnikom, zagarniającym coraz butniej i rezolutniej losy starej Rzeczypospolitej w swe ręce wielmożne.

Już w samym sejmie opozycya urosła z czasem do rozmiarów groźnych. Na sesyi 3-go maja 1792 r. na stu pięćdziesięciu członków obecnych było siedemdziesięciu przeciwnych ustawie rządowej, a z tych dwóch biskupów: chełmski Skarszewski, inflancki Kossakowski i jeden hetman Branicki; pięciu wojewodów: smoleński Sapieha, lubelski Hryniewiecki, mazowiecki Małachowski, bracławski Grocholski, inowrocławski Sumiński; dwaj kanclerze: wielki koronny Małachowski, wielki litewski Sapieha, oraz podkanclerzy litewski Chreptowicz; dwaj podskarbiowie: wielki koronny Kossowski, litewski Dziekoński; dziewięciu kasztelanów: trocki Plater, żarnowski Szydłowski, wojnicki Ożarowski, wieluński Karsznicki, rypiński Zieliński, smoleński Suchodolski, buski Załuski, przemyski Czetwertyński, łukowski Jezierski; czterdziestu ośmiu posłów ziemskich: czernihowscy Radzimiński i Kerdwanowski, inflanccy Pągowski, miński Putkamer, mozyrski Jeleński, bracławscy Świejkowski i Grocholski, zakroczymscy Zieliński i Radzicki, mielnicki Szydłowski, nurski Jabłonowski, wyszogrodzki Nowomiejski, warszawski Szamocki, orszański Józefowicz, lubelscy Sufczyński i Dłuski, podolscy Mierzejowski, Złotnicki, Orłowski i Kossecki, wołyńscy Zagórski, Olizar, Hulewicz, Strojnowski, Aksak i Krzucki, chełmski Kicki i Komorowski, inowrocławscy Madaliński i Trzebuchowski, kujawski Dąbski, żmujdzcy Zabiełło i Sylwestrowicz, łęczyccy Nakwaski, Błociszowski i Krotkowski, upicki Kossakowski, grodzieński Dziekoński, trocki Siwicki, kaliscy Suchorzewski i Pruski, sandomierski Mężeński, brasławski Manuzzi, wiłkomirscy Pomarnacki i Kossakowski, oszmiański Chomiński, wileński Korsak, poznański Mielżyński. Nazajutrz jednak po uchwale reformy, to jest 4 maja 1791, manifest rokoszowy do grodu warszawskiego zanieść usiłowało tylko dwudziestu siedmiu posłów, z kasztelanem przemyskim Czetwertyńskim na czele — bo co do głównych sprawców klęsk późniejszych, przywódców rokoszu, mającego zburzyć pracę sejmu wielkiego, siedzieli oni tymczasowo zdala od wypadków warszawskich, bądź w domu, bądź za granicą — i tylko przez popleczników swoich wpływali na rozwój akcyi, prowadzonej pociemku, nieświadomie, dla wielu w najzupełniejszej dobrej wierze.

W kancelaryi grodu warszawskiego pisarz Skulski manifestu opozycyi przyjąć do akt nie chciał; zgodził się jedynie na zamieszczenie krótkiej protestacyi, głoszącej, że na sesyi 3-go maja malkontenci nie zezwalali na nic, co przeciwnego było *„prerogatywom wolności* narodowej, spokojowi domowemu i instrukcyom.“ Nadto na sesyi sejmowej 5-go marca sześciu z podpisanych na manifeście oznajmiło, że od protestacyi odstępują i do „woli powszechnej“ się przyłączają; kilku innych uczyniło to samo później, ale reszta rozbiła się na prowincyi i po kancelaryach grodzkich we Włodzimierzu Wołyńskim, Łucku, Brześciu Litewskim, Kamieńcu, Lublinie skargi swe obnosiła. Naturalnie, stokroć niebezpieczniejszemi nad te pokrzykiwania głośno były nurtowania tajemne, prowadzone w kraju głównie przez hetmana wielkiego koronnego Branickiego. Sformował się też zaraz w Warszawie gatunek klubu opozycyjnego, „kompania ludzi młodych, gołych a zuchwałych,“ pod przewództwem Borzęckiego, właściciela Mińska-czerskiego. Mołojcy ci, porozumiawszy się z Bułhakowem (aprobującym ich „zamiary,“ ale

niedającym zachęty do „czynu"), pragnęli skorzystać z nieobecności w stolicy komendanta załogi Rzewuskiego i ministra policyi Ignacego Potockiego — i porwawszy Stanisława Augusta z Łazienek, sejm rozpędzić, a ustawę rządową obalić. Ale hetman „po pijanemu wyspowiadał się" ze wszystkiego przed biskupem krakowskim Turskim i tym sposobem król ocalał, przechowując drogą swą osobę na lepsze czasy i świetniejsze okazye. Tymczasem na prowincyi, tu i owdzie wybuchnęły „słomiane ognie." Najsilniej ujawniło się niezadowolenie z „rewolucyi 3-go maja" w Małopolsce, w województwach ruskich, gdzie bardzo żywą agitacyę rozpoczął podkomorzy Dłuski. W województwach wielkopolskich malkontentyzm mało znalazł paliwa. Szlachta litewska pomrukiwała czas jakiś, ale się w końcu dała nakłonić do lojalnego zachowania się wobec faktów spełnionych; kroniki przechowały jedno tylko nazwisko, które uledz nie chciało *usque ad finem*: to był poseł trocki, wojski litewski, Zaleski, który jeszcze w końcu r. 1790 zniechęcił się kierunkiem prac sejmowych, Warszawę opuścił, wrócić do niej na żadne zaklęcia nie chciał, we wsi swej dziedzicznej się zagrzebał — i teraz, po otrzymaniu wiadomości o „przewrocie," począł rozpisywać na wszystkie strony listy sążniste, goryczą przepojone, naszpikowane cytacyami z Tacyta i Swetoniusza o Neronach tegoczesnych... Neronem był — to się rozumie — Stanisław August; Zaleski własnoręcznie w epistołach swych neronizm mu wytykał. Wtórował wojskiemu litewskiemu najwymowniej z Wołynia komisarz wojskowy, Tadeusz Czacki. „Lękam się — pisał — aby ta rewolucya nie była wstępem do drugiej, dalszej; lękam się, aby nam teraz z kolei gmin rządu nie duwał... Dziękuję Bogu, że nie stawiałem tej budowy... Ulegam prawu przez rozsądek, szukam wiejskiego zacisza... Znam ja mój naród: podobny jest do dziecka, które wtenczas nawet dziękuje, kiedy chłosta jest w ręku tego, przed którym się kłania. Nie dziwię się temu: nikt nie pracował nad powszechnością narodową, aby ją poprawić i oświecić..."

Uniwersały króla, osobiste zabiegi przyjaciół i zwolenników naprawy, ogromna czynność podkanclerzego Kołłątaja, uśmierzyły wkrótce wzburzoną powierzchnię społeczeństwa szlacheckiego. Pozostało tylko jeszcze udobruchać, ugłaskać dwu najzawziętszych, najmożniejszych nieprzyjaciół reformy: hetmana polnego Rzewuskiego i generała artyleryi Szczęsnego Potockiego. Pierwszy siedział zachmurzony w Wiedniu i oczekiwał tam na przybycie drugiego, który wyjechawszy w kwietniu 1791 r. za urlopem Komisyi wojskowej do Paryża, zamierzał był pierwotnie jechać do Anglii, wkrótce atoli, zaniepokojony snadź wieściami z Polski od swojego korespondenta, Benedykta Hulewicza, zmienił swe plany i w towarzystwie ukochanego kasztelanica Sandeckiego, Józefa Komorowskiego, młodzieńca odznaczającego się „otwartością, rozumem, wymową, łatwością pięknego pisania," nad Dunaj zawitał. Poseł bracławski, Adam Moszczeński, wysłany do niego przez malkontentów, doręczył mu — obok innych — listy króla, Ignacego Potockiego, marszałka Małachowskiego itd., donoszące o dokonanym przewrocie i grzecznie, uprzejmie tłomaczące jego powody. Szczęsny dłuższą odpowiedzią zaszczycić raczył jedynie króla. Akt 3-go maja nazywa rewolucyą, a nazwałby nawet „spiskiem," gdyby nie udział panującego. Przekształcenia Rzeczypospolitej nie usprawiedliwiają, jego zdaniem, pogłoski o knowanym przez sąsiadów nowym rozbiorze, jeżeli bowiem są one prawdziwe, w takim razie należało zaprzysiądz obronę ojczyzny, nie zaś jej zgubę. Zapowiada, że wywrot 3-go maja stanie się źródłem wojen i *niewoli*, że sprawa zamążpójścia infantki wywoła katastrofę straszniejszą od wszystkich elekcyj królów dożywotnich. W końcu oświadcza, że jeżeli wolność przywróconą nie będzie, pójdzie z dziesięciorgiem dzieci szukać innej ojczyzny.

Z początku więcej się lękano hetmana polnego Rzewuskiego, niż generała artyleryi, Szczęsnego Potockiego. W gruncie jednak rzeczy o widokach ich, a zwłaszcza zabiegach faktycznych nikt nic nie wiedział — najmniej zaś malkontenci krajowi, którzy pod pozorem niezdrowia i potrzeby leczenia się w Karlsbadzie jeden po drugim wymykali się do Wiednia, aby stamtąd wrócić z większym tylko jeszcze zasobem frazesów o złotej wolności i potrzebie ratowania ojczyzny z niewoli, za pomocą... — nie odgadywano, za czyją pomocą, skoro o *własnej* nie miano najmniejszego wyobrażenia. Oto np. co pisał Borzęcki w d. 15 października 1791 z Wiednia do Szczęsnego, kiedy ten ostatni już stamtąd w inną stronę wyruszył: „Choćby za wszczętą (przeciwko ustawie 3-go maja) rewolucyą mógł nastąpić podział Polski, równym to dla niej widzę losem, jak gdy się utrzyma rząd 3-go maja — żadnej nie znajduję różnicy między niewolą a niewolą, którąby Polacy gnębieni byli albo pod własną monarchią, albo pod monarchią tych potencyj, któreby pomiędzy siebie podzieliły. Rewolucya, choćby najkrwawsza, wzdrygać nas nie powinna. Trzeba takiemu narodowi koniecznie gwałtownego wzburzenia, któreby przerwało, a przeto odmieniło sposób życia. obyczajów, wytępiło najpierwszych zbrodniarzów i zniosło odwieczne źródło zbrodni i nieszczęść — króla... Tego zaś żadna spokojna rewolucya dokazać nie może, tylko krwawa i życzyłbym jak najdłuższa. Wojna domowa nie nieszczęściem, ale dobrem jest dla ojczyzny..." Spieszymy dodać, że człowiek, co te wyrazy skreślił, był waryatem, a jak się autor „Ostatniego roku" domyśla — waryatem dziedzicznym, po mieczu. „Stanisław Borzęcki — pisze — był *prawdopodobnie* synem głośnego z dziwactw cześnika koronnego, który nabiwszy sobie głowę pretensyami do korony, w bezkrólewiu po Auguście III-im przejadł całą prawie fortunę."

W Petersburgu wiadomość o przewrocie 3 maja sprawiła wrażenie przykre, ale o tyle tylko, o ile Rosya uwikłaną była w wojnę z Turcyą, a za reformą rządową w Polsce podejrzewała machiawelizm Prus. Przymierze Rzeczypospolitej z Prusami — oto był właściwy kamień obrazy. Dla odciągnięcia od niego Polski poświęconoby może nieco nawet z uprzedzeń do konstytucyi 3-o maja. Potiemkin pod koniec września 1790 r. pisał do Bułhakowa z Benderów: „Pluj pan na wieści, które szerzą u was (w Warszawie) na nasz rachunek... Jak im nie znudzi się kłamać. Lepiej, żeby się zastanowili, iż, gdyby zachowali nam przyjaźń, Mołdawia stanowiłaby ich własność..." Ale Imperatorowa przeciwną była awanturniczym takim obietnicom. W d. 12 listopada 1790 r. pisała do Potiemkina, powstrzymując go od wspaniałomyślności hazardownej: „Na sprawę polską kazałam wyasygnować do 50,000 dukatów, z których Bułhakow zwróci ci 20,000 użytych z sum twoich. Dałam Bułhakowowi należyte instrukcye, w jaki sposób ma umysły polskie zwracać na drogę pożądaną: na sejmikach nie powinien działać sam, lecz za pośrednictwem naszych przyjaciół. Nie szkodziłoby obiecać Rzeczypospolitej poręczenie nietykalności jej terytoryum, gdyby to teraz było właściwe; wszakże sami Polacy aktem uroczystym odtrącili wszelką gwarancyę. *Nie zamierzam krępować ich w sprawach wewnętrznych*; lecz w warunkach obecnych ustępstw wszelkich tego rodzaju nie można czynić inaczej, jak w rozmowach Bułhakowa z przyjaciółmi naszymi, zapewniając ich, że skoro naród, chociaż w części, wejdzie na drogę roztropności i domagać się pocznie gwarancyi, otrzyma ją..." Ale Potiemkin nastawał, przenosząc nad wszelkie inne środki pociągnięcia ku Rosyi Polaków — przyrzeczenie im Mołdawii. „Przymierze pruskie — pisał — nie jest jeszcze dla Polski nieszczęściem, owoce bowiem jego są kwestyą przyszłości; nasze — dość jej sprawiło trosk; należy przeto z systemem starym, jako z grą niedobrą, zerwać, a ją się nowej i lepszej. Dla przywiązania do nas Polaków koniecznie trzeba im obiecać Mołdawię i zwrócić ich w ten sposób przeciwko Prusom i Turcyi, która skłonniejszą będzie wtedy do zawarcia pokoju. Jakąż sprzeczność zdradzimy wobec Europy skutkiem obiecania Polsce Mołdawii?.. Przedewszystkiem Europa mnie nic nie obchodzi: Francya zwaryowała, Austrya tchórzy, inne mocarstwa są nam wrogie itd."

Pokazało się, że frasunek był zbytecznym. Wybór najodpowiedniejszych środków ułatwił Rosyi Szczęsny Potocki, który wcześnie nawiązawszy z Potiemkinem stosunki, wybrał się w październiku 1791 do jego kwatery głównej w Jassach wraz z hetmanem polnym Rzewuskim. Na razie spotkała ich niespodzianka, zawód. Rzewuski spóźnił się o dzień jeden w drodze, a tymczasem oczekujący nań Szczęsny otrzymał wiadomość, że Potiemkin, który z Jass wyjechał był do Mikołajowa dla poratowania zdrowia, zmarł tam 16 października na rękach hetmanowej wielkiej koronnej Aleksandry Wasilewny Branickiej. Zaniepokoiło to trochę „emigrantów," ale z kłopotu wyprowadził ich konfident nieboszczyka generał Popow, podejmując się pośrednictwa z Petersburgiem. W d. 19 października wręczył mu Szczęsny Potocki dwa listy do Imperatorowej: od siebie i Rzewuskiego. Poczem obaj dygnitarze wyjechali do Jazłowca, gdzie czekać mieli na odpowiedź. Otrzymali ją za pośrednictwem Bezborodki, który po śmierci Potiemkina prowadził dalej układy pokojowe z Turcyą. Bezborodko, wysławszy korespondencyę przez umyślnego, zaproponował spotkanie się w pobliżu Jass incognito, pod pozorem polowania. Ale „emigranci," przybywszy do Jass i zastawszy tam hetmana Branickiego, oświadczyli, że „nie potrzebują ukrywać ani zamiarów swoich, ani nadziei, jaką pokładają w protekcyi Imperatorowej" (str. 194).

(D. n.)

W. Rajczyc.

LICZBY ŚWIĘTE

(szkic z mitologii porównawczej).

Tłomaczenie dotychczasowe liczb świętych. — Prace amerykanistów. — Poczwórna budowa wszechświata u Czeroków, siedmioraka Zuńczyków. — Ustrój mito-socyologiczny. — Trójka i dziewiątka Aryjczyków.

Jedno zpośród zaklęć plemienia Łotyszów brzmi: „Trzech mężczyzn idzie po morzu, wszyscy mają w ręku róże (choroby). Wszystkie one upadły do morza, utonęły, zniknęły, rozeszły się, poszły do dna — czerwone, białe, błękitne. W morzu przebywa trzech po dziewięć kowali, jest trzy po dziewięć młotów, trzy po dziewięć kowadeł. Tam je okują, tam je zamordują, tam je rozniosą trzema po dziewięć, mieczami."

Pozornie możnaby mniemać, że to połączenie trójki z dziewiątką jest tylko zwrotem symbolicznym — nic nadto, jak u nas podczas odczyniania uroków, gdy trzeba zażegnać coś trzy, pić odwar trze-

ma łykami itd. Naturalnie, nawet pojęte w ten sposób, znaczenie takich liczb symbolicznych pociąga badacza, który zadaje sobie pytanie, jakim sposobem lud doszedł do poważania pewnej cyfry. Kwestya ta oddawna zaciekawiała folklorystów, chociaż nie umieli oni wytłomaczyć pochodzenia trójek, siódemek, dziewiątek i innych liczb, występujących w praktyce znachorskiej lub w klechdach (w rodzaju np. owego zwrotu: za dziewięciu górami, za dziewięciu rzekami). Podawane wyjaśnienia obracały się w zaczarowanem kółku wywodów, które innymi tylko wyrazami powtarzały w ostatecznym wyniku to, co tkwiło już w założeniu i oczekiwało zbadania: pewna liczba jest symbolem, ponieważ jest święta, jest zaś święta, bo jest symbolem. W tych próbach odcyfrowania zagadki było pełno napomknień o mistycyzmie, tajemniczości, świętości symbolów, lecz brakło najistotniejszego jądra, mianowicie poczucia, że wszelka taka rzecz jest, bądź co bądź, tylko tworem stosunków zmysłowych i że jeżeli trójka lub siódemka są liczbami symbolicznemi, to tylko dlatego, że straciły ów grunt pod sobą, z którego wyrosły.

Dopiero studya porównawcze nad poglądami ludów pierwotnych (w rzeczy samej zaś tylko Czerwonoskórców Ameryki Północnej, bo nauka nie posiada odpowiedniego materyału, pochodzącego skądinąd) zaczęły rozpraszać mrok tajemniczości, spoczywający nad świętemi liczbami. I oczom zdumionego badacza okazał się widok zgoła niespodziewany. Ujrzał on, że liczby symboliczne są tylko cząstką całego systemu filozofii, znajdującą się w harmonii z budową wszechświata, i że nasze dziewięć gór, dziewięć rzek i dziewięć mórz są szczątkiem poglądów naszych praojców na topografię świata, i że łotyskie trzy kowadła i trzy młoty i trzech mężczyzn, wziętych po razy dziewięć, są obrazem, jak siły sprawcze przyrody są rozłożone w przestrzeni.

Zatrzymajmy się nad poglądami Czeroków, plemienia indyjskiego, od lat wielu tak systematycznie badanego przez J Mooneya, jednego z uczonych agentów Biura etnograficznego w Waszyngtonie.

Liczbą symboliczną ich filozofii jest czwórka.

Czerokowie nie otrząsnęli się jeszcze z poglądów zooteistycznych, uważających zwierzęta — w danym razie zwierzęta już nie rzeczywiste, ale mistyczne, nadprzyrodzone — za siły sprawcze w wszechświecie, posyłające ludziom choroby, wiatry i burze, pomyślność. Reumatyzm np. zsyłają jelenie nadprzyrodzone, robaki — ból zębów, od którego leczą istotę ludzką orły mistyczne, karmiące się robactwem. Panami nad burzą są gromoptaki, żółwie mają władzę nad wodami i mgłami. Każda z tych sił sprawczych jest reprezentowana przez czterech braci lub cztery siostry, albo przez cztery pary małżonków, pojedynczy zaś członek takiej czwórki jest pewnej szczególnej barwy, odpowiadającej tej okolicy nieba, którą zamieszkuje: na południu burzami rządzi gromoptak czerwony, od północy zsyła huragany czarny, od wschodu biały, od zachodu zielony, tak samo jak u Łotyszów istnieją róże trzech kolorów: błękitne, białe, czerwone. W każdej stronie istnieje góra wysoka i jezioro: czerwone, czarne, białe itd., stosownie do okolicy.

To też każde zaklęcie, każde odczynianie uroków, zbieranie ziół, wszelka ceremonia religijna składa się z czterech części, zgodnie z powyższem ukształtowaniem przyrody i tak samo poczwórnem rozmieszczeniem tam sił sprawczych, potęg nadprzyrodzonych i opiekunów nadziemskich. „Zwykłe formuły — pisze J. Mooney — składają się z czterech zwrotów, odpowiadających czterokrotnemu zaklinaniu choroby. Czwórka wśród Czeroków jest liczbą świętą, powtarzającą się w każdym szczególe obrzędu: wzywają oni czterech duchów w czterech modłach, dmuchają cztery razy, robią odwar z czterech traw, dawanie lekarstwa powtarza się cztery razy, obowiązuje znachora post w ciągu czterech dni."

U Czeroków świętość liczby symbolicznej w sposób wyraźny i niewątpliwy wiąże się z pojęciami o poczwórnej organizacyi przyrody i sił tam działających. Jeszcze lepiej, zwłaszcza zaś szerzej występuje ta zależność w filozofii Zuńczyków, ludu, który liczy obecnie wprawdzie tylko 1,700 głów, ale który dzięki poszukiwaniom F. Hamiltona-Cushinga pozostanie na stronicach nauki etnograficznej i socyologicznej tak samo, jak Morgan unieśmiertelnił Iroków, oraz ich organizacyę społeczną.

Zuńczycy zamiast czterech stron świata przyjmują aż sześć, bo prócz zwykłych: wschodu, południa, zachodu i północy, uwzględniają jeszcze górę i dół. Każda z tych okolic ma właściwą barwę symboliczną i jest ogniskiem działania pewnej siły, ściślej: siedzibą odpowiedniej potęgi sprawczej, nadprzyrodzonej. Jak u Łotyszów trzech mężczyzn mitycznych idzie po morzu, tak samo tam działa sześć zwierząt nadprzyrodzonych. Puma, wilk itd. są np. bóstwami polowania — każdy drapieżnik na stosowną zwierzynę. Takich pum jest sześć, tyluż wilków — błękitnych, czerwonych, białych, czarnych itd. Ale lud ów posunął się jeszcze dalej, bo zamiast szóstki czci siódemkę, przyjmuje jeszcze „matkę świata," „pępek"—tj. środek. Powstaje przeto nie zawsze zresztą ściśle przeprowadzone pojęcie o siedmiorakiej budowie wszechświata, często schodzące na sześciorakie, pięciokrotne i nawet poczwórne. Ostatnie zjawia się, gdy chodzi o siły, działające jedynie na powierzchni ziemi. Na tem miejscu mimowoli nasuwa nam się porównanie poglądów tego szczepu czerwonoskórego z wyobrażeniami naszego ludu w Olkuskiem: według Olkuszan „wiatr jest to istota żywa i ma do swego rozporządzenia pomocników, którzy dmą w miechy. Miechów tych jest siedem, najwięcej jednak może być czynnych cztery, w przeciwnym bowiem razie wiatr poprzewracałby wszystko na świecie."

Wracamy jednak do Zuńczyków. Siódemka owa, będąca symbolem budowy świata, jest świętą liczbą obrzędów religijnych, zaklęć i praktyk znachorskich, co więcej nawet, podstawą budowy organizmu zwierzęcego, oraz ustroju społecznego, któremu Cushing z tej okazyi nadał nazwę społeczeństwa „mitologicznego."

Arcykapłan na wiosnę sadzi w ziemię ziarna święte, zwane tam matkami i ojcami. W pośrodku koła symbolicznego robi on dołek i pociąga przez niego krzyż, którego cztery ramiona idą w kierunku czterech głównych stron świata. Na końcu każdego ramienia znowu żłobi on otwór i zostawia tam nasiona — zaczynając od północy, przechodzi do zachodu, południa i wreszcie wschodu. Posadziwszy ziarno na wschodzie, zatacza ręką koło zamknięte w tym samym kierunku, aż wreszcie dokonawszy całego obrotu, z lewej strony poniżej północy robi nowy dołek — dolny, poczem znowu uskutecznia takie same koło i wydrąża otwór na prawej stronie poniżej południa — górny. W końcu sadzi ziarno do dołu środkowego.

W powyższem przedstawieniu obrzęd składa się z siedmiu części i jest wzorem, według którego u Zuńczyków kształtują się wszelkie obchody religijne, procesye, nabożeństwa. Każda ich świątynia składa się z siedmiu izb, połączonych drzwiami w ten sposób, ażeby procesya mogła obejść wnętrze w określonym porządku. Według tej samej zasady jest zabudowane pueblo — jedyne, jakie lud ten, podupadły skutkiem najazdu białych, zamieszkuje. Dawniej posiadali oni siedem grodów, które liczbą swoją odpowiadały tylu stronom świata i były stosownie rozmieszczone. Nawet budowę zwierząt tłomaczą oni z takiego punktu. Prawa przednia noga odpowiada północy, lewa zachodowi, tylna południowi i wschodowi, głowa górze, ogon dołowi, serce lub pępek środkowi.

Struktura osady wskazuje, że i budowa społeczeństwa jest oparta na zasadzie siedmiokrotności. Istotnie, plemię zuńskie rozpada się na 19 rodów, które uszeregowano w siedem fratryj, przyczem umysł ludzki w tej robocie organizacyjnej wyszedł z pokrewieństwa pomiędzy totemami (opiekunami i symbolami rodów) z odpowiedniemi częściami świata. Do działu północnego nalożą np. rody żórawia, jarząbka i ostrokrzewu: żórawia dlatego, że ptak ten pojawia się w kraju Zuńczyków jesienią i pozostaje tam w ciągu zimy; jarząbka, ponieważ stworzenie to nie obawia się śniegów i mrozów i zimą w lesie tak samo wesoło przeskakuje z gałązki na gałązki, jak inne ptactwo wiosną; ostrokrzewu wreszcie, bo drzewo to w ciągu zimy zachowuje zieloność. Zwierzęta i roślina są jednocześnie poniekąd panami zimy i chłodów, oraz północy. Działy te społeczne, może niesłusznie zwane fratryami, kierują każdy uroczystościami plemiennemi, odpowiednio do pory roku. Ażeby pojąć ich czynności, musimy powiedzieć słów parę o roli, przypisywanej każdej okolicy świata. Północ jest siedzibą wiatru i powietrza oraz zimy, stamtąd przychodzi zniszczenie, z tą okolicą nieba połączona jest także mitycznie wojna. Z zachodu płyną łagodne wiatry wiosenne, pod których oddechem śniegi topnieją i zima ustaje, pojawia się zaś zieloność i życie, itd. Każda więc fratrya obejmuje kierownictwo nad obrzędami religijnymi oraz obradami i zborami plemiennymi podczas właściwej pory: północna zimą, południowa z nastaniem lata itd. Obok organizacyi społecznej istnieje jeszcze ezoteryczna: towarzystwa mistyczne, zorganizowane dla odczyniania uroków, leczenia, wyjednania pomyślności, wszystkie tak samo związane z siedmiorakim układem świata. Zbyteczna nadmieniać, że i rząd plemienny opiera się na takiej samej podstawie.

Słowem, społeczeństwo ludzkie, hierarchia rządu, organizacye religijne, obrzędy i ceremonie, budowa mieszkań, ustrój zwierzęcia, wreszcie kształty całego kosmosu i rozmieszczenie potęg nadprzyrodzonych spoczywają na tej samej zasadzie. Plemię ludzkie jest tylko częścią wszechświata, zorganizowaną według jego wzorów — „organizacyą mito-socyologiczną." „Organizacya ta — powiada Cushing — przedstawia system w systemie, system zaś zawiera jeszcze systemy w systemach (rody np. rozpadają się na podrody, siedmiokrotnie wzięte), wszystkie oparte na tej samej zasadzie, zgodnie z poszóstnym podziałem każdego z tych poddziałów. Ta dążność klasyfikowania wszystkiego według liczby sześciu okolic świata z siódmą syntezą całości (niekiedy widoczną, czasami ukrytą) jest tak dalece posunięta, że nietylko poddziały towarzystw ezoterycznych są uszeregowane według tego wzoru, lecz także każdy klan rozpada się zgodnie z organizacyą poszóstną. Dział plemienny, złożony z klanów północy, zajmuje w organizacyi stanowisko starszego brata lub najstarszego przodka, odpowiednio do warunków. Zachodni jest jego bratem młodszym, południowy — zachodniego, wschodni— południowego, górny — zachodniego, dolny — wszystkich, środek zaś istotą reprezentacyjną, sercem lub pępkiem wszystkich

braci — pierwszą i ostatnią, najstarszą i najmłodszą.“

Brak miejsca nie pozwala nam zapuszczać się w szczegóły, zaznaczymy tylko, że z systemu siódemki Zuńczycy wprowadzili dalsze święte liczby: czwórkę, o ile chodzi o siły na płaszczyźnie; piątkę, gdy północ i dół, południe i góra zlewają się pod wpływem pewnych wyobrażeń, wreszcie szóstkę, która zresztą jest podstawą syntezy siedmiorakiej. Trójki tam nie odkryliśmy, dziewiątka występuje, ale jest symbolem już nie kosmicznym, lecz innego pochodzenia. Natomiast trójka i dziewiątka, tak często figurujące w mitologii aryjskiej, zdaje się są podobnego pochodzenia, tj. wynikają z poglądów na budowę świata. Jakich, na to nie umiemy na razie odpowiedzieć, chociaż na upartego moglibyśmy znaleźć pewne oparcie. Weźmy np. zaklęcia Łotyszów.

Jedno z nich brzmi: „Biała dziewczyno! Biegnij do morza, przynieś zdrowie i zabierz wszystkie trzy dziewięciokrotne choroby, które zjadają ciało moje. Dziewięciu mężczyzn stoi po tej stronie morza na kamieniu, dziewięciu po tamtej na kamieniu, dziewięciu pośrodku morza na kamieniu, mają trzy po dziewięć książek w ręku, modlą się do Pana Boga, odmawiają: Ojcze nasz!“ Inne głosi: „Trzy góry przed nami, trzy za nami; sześć gór przed nami, sześć za nami; dziewięć gór przed nami, dziewięć za nami! — Trzy góry za nami, trzy przed nami; sześć gór za nami, sześć przed nami; dziewięć gór za nami, dziewięć przed nami!“

W powyższych zaklęciach natura kosmiczna trójki, względnie dziewiątki, występuje bardzo wyraźnie wraz z powodami, które dały początek takiemu pojmowaniu przyrody.

Kończąc artykuł swój, winniśmy jeszcze zaznaczyć, że nie chodziło nam o wykrycie wszystkich źródeł świętości liczb, lecz tylko tych, które wiążą się z pojęciami o układzie kosmosu.

L. Krzywicki.



CIEKAWA PRÓBA.

Zreformowana ustawa Banku włościańskiego nosząca datę 27 listopada 1895 r. zezwala władzom bankowym nabywać na własny rachunek dobra ziemskie w celach parcelacyjnych. Bilans zeszłoroczny (tymczasowy) wspomina wprawdzie o sumie 215 tys. rubli wydatkowanych na „zakup ziemi.“ Krótki jednak przeciąg czasu nie pozwolił dotychczas dokonać większych tranzakcyj pod tym względem, jak nie pozwoliłby, w razie istotnie dokonanych, na wysnuwanie jakichkolwiek wniosków z nielicznych, odosobnionych szeregów cyfrowych. Za czasów atoli panowania dawniejszej ustawy, a mianowicie w r. 1893 dokonano, w drodze wyjątkowego nakazu Najwyższego, zakupu większych obszarów ziemi w celach kolonizacyjnych. Kilkoletni przeciąg czasu, jaki nas dzieli od owej chwili, pozwolił już władzom odnośnym na przeprowadzenie pewnych czynności parcelacyjnych w większym stylu — ciekawych same przez się dla każdego, kogo zajmują tyle ważne w chwili obecnej próby kolonizacyjne i wszystko wogóle dotyczące polityki rolnej. W Królestwie nie dokonano dotychczas żadnej tranzakcyi z kategoryi tych, które wprowadziła ustawa zreformowana. Nie ulega żadnej wątpliwości, że fala parcelacyjna zaznaczonej barwy dotknie i nas w niedalekiej nawet przyszłości. Z tych przeto względów sądzimy, że czytelnika naszego opis próby podobnej zajęć potrafi.

Owóż, jak wspomnieliśmy, w r. 1893 z rozkazu Najwyższego Bank państwa udzielił włościańskiemu pożyczki 1¼ mil. rs. w celu nabycia (od masy upadłościowej) majątku ziemskiego Koszelewa (gub. Riazańska). Majątek, jak wskazuje suma szacunkowa, bardzo obszerny, liczy 11 tys. dziesięcin ziemi ornej, nader cenne lasy, kilka gorzelni, młyny i wiele innych źródeł dochodu. Poprzedni właściciel korzystał ze smutnego stanu majątkowego okolicznych wsi, nadzwyczaj małorolnych, które mu dostarczały do fabryk robotnika w żądanej ilości i cenie. Nie próbował on parcelacyi na własną rękę przy pomocy Banku włościańskiego, obawiając się, że z chwilą, kiedy włościanie okoliczni powiększą swoje gospodarstwa i znajdą we własnym warsztacie pracę, pochłaniającą wszystek czas i siły całych swych rodzin — fabryki mogą stanąć dla braku robotników, a w każdym razie poniosą znaczne straty. Minister finansów powziął wtedy szczęśliwą myśl: majątek nabędzie Bank włościański i powoli, ostrożnie parcelując, podniesie dobrobyt wielolicznych wsi nędzarzy, znajdując przytem korzystną lokacyę dla kapitałów swoich. Ze sprawozdania Banku włościańskiego za r. 1895 dowiadujemy się, że ogólny plan likwidacyi ziemi ornej w liczbie 11 tys. dziesięcin został już nakreślony. Nie postanowiono dotychczas nic względem głównego folwarku, liczącego 1.000 dziesięcin ziemi, fabryki itd. Miano obrócić te ziemie na szkołę rolniczą.

Wobec nędzy, panującej powszechnie między tamecznymi włościanami, Bank włościański nie uznał za celowe sprzedanie im ziemi na własność nabytej. Postanowiono natomiast wydzierżawić ją przyszłym właścicielom na przeciąg lat 9 pod warunkiem, że, o ile wypełnią warunki umowne, z dzierżawców przeobrażą się na nabywców prawnych. Dzierżawcom przyznano ulgę: wolno im mianowicie płacić czynsz wszelkimi produktami rolniczymi, które zarząd majątku przyjmuje od nich po cenach targowych. Czynsz zabezpieczają zbiory, których nie wolno im sprzedawać, aż do chwili, kiedy wniosą przypadające od nich opłaty. Dwu lat zaledwie starczyło, aby rozparcelować w ten sposób 7,861 dzies. ziemi pomiędzy 13 stowarzyszeń. Cena sprzedażna oznaczoną została na 725,060 rs., tj. na połowę blizko pożyczki zaciągniętej w Banku państwa. Włościanie płacą rocznie czynszu 43,503 rs. 64 kop., a w tej sumie 3,625 rs. amortyzowanego kapitału. Cena ziemi waha się 133—83 rs. za dziesięcinę (2 morgi). W pozostałej, znacznej zawsze jeszcze ziemi prowadzi się gospodarstwo na rachunek Banku: fabryki, gorzelnie, młyny pracują bez przerwy. Wymaga to licznej administracyi i znacznego dozoru, co znowu niekoniecznie jest dogodnem i zyskownem dla skarbu. W chwili dokonania zakupu uznawano go jako nader zyskowny Bank włościański płaci Bankowi państwa 4½% od 1¼ mil. rs., co stanowi 67,500 rs., dziś już jednak dochody pokrywają z naddatkiem tę sumę. Ziemię oceniono na 952,800 rs., las zagospodarowany prawidłowo — ma przedstawiać cenę 552,000 rs., środkowy folwark 108,000 rs., dochody z fabryk 70,000 rs. Wobec tego rachunku (rozumie się nie wątpiąc o jego prawidłowości) ziemia odprzedawana włościanom i las pokrywają cenę szacunkową. Mając tedy, jako czysty zysk z tranzakcyi folwark środkowy (1,000 dziesięcin), oraz wszystkie fabryki i budowle — Bank może spokojnie czekać, aż włościanie po pierwszych najcięższych latach zagospodarowywania się wejdą na właściwą drogę korzystania z bogactw ziemi. Ten czas próby wykaże też dobitnie, jakie grupy śród nich będą mogły wypłacać się regularnie Bankowi, a jakie odpaść będą musiały.

Dochody w r. 1895 z dzierżaw, gospodarstwa leśnego, gorzelni — które mają jednak ściśle gospodarczy charakter, przerabiając tylko własne zboże i kartofle — młynów itd. wynosiły 201 tys. rs. Wydatki, licząc w to i procenty płacone Bankowi państwa, pochłonęły 199 tys. Z bilansu tego wnosząc, początki tej gospodarki państwowej wbrew zwykłej kolei rzeczy, okazały się nader pomyślnemi.

Wszystko, co dotyczy ziemi, wymaga dłuższego czasu na zbadanie stopnia pożytku lub szkody. Ziarno w nią rzucone dopiero po upływie roku powraca do rąk siewcy dziesięciokrotnie zwiększone pod względem ilości, ale wraca też jako nieurodzaj. Fabrykant, wprowadzając ulepszenia do warsztatu swej pracy, widzi w nader krótkim czasie rezultaty swych nakładów. Rolnik natomiast, wzbogacając swą fabrykę pierwiastkami postępu i reformy — długie lata musi czekać, aby zdobyć pożytek, albo i... zawody. Nie dziś czas jeszcze, aby tą próbę działalności państwowej oceniać. Całego szeregu lat trzeba będzie, aby przy krytycznym poglądzie na rzeczy, uczciwych sprawozdaniach, rzetelności urzędników — móc otrzymać obraz dokonanych na tem polu zabiegów. Zdaje się jednak, że tendencyę rozwojową dostrzedz już i dziś można w tym wypadku jednostkowym. Należy się tedy spodziewać dalszej działalności Banku włościańskiego na tem nietkniętem polu.

S. P.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł pod tytułem „Dyskrecya,“ pomieszczony w nr. 4 *Prawdy*, skłonił mnie do napisania poniższych słów, które racz Szan. Panie Redaktorze pomieścić w piśmie Swojem.

Sprawozdanie z wycieczki do Brzozowej i Sobieszyna figurowało na porządku dziennym sekcyi rolnej od listopada r. z. (podług autora „Dyskrecyi“ od. września), a napisanem zostało przeze mnie w celu wywołania w sekcyi rolnej dyskusyi, w której dałaby się ujawnić ujemna działalność administracyi zapisu hr. Kickiego. Wobec tego, że przez radę zarządzającą zapisem powołana została delegacya z trzech członków sekcyi rolnej do zbadania stanu gospodarstwa w Sobieszynie i Orłowie, wybranych zaś delegatów uważam za niezdolnych do poświęcenia prawdy na ołtarzu jakichkolwiekbądź względów, uznałem za stosowne wstrzymać się z odczytaniem sprawozdania do czasu ukończenia pracy podjętej przez delegacyę, aby w razie dyskusyi mieć więcej danych urzędowych, mogących potępić administracyę zapisu. Takim był powód odłożenie odczytu, które autorowi „Dyskrecyi“ tak się dziwnem wydaje. Ze sprawozdania mojego nic pod presyą prezydyum nie wyrzuciłem i nic w niem nie zmieniłem, presyi takiej nie było, a gdyby była, to żadnegoby skutku nie odniosła, co ze stanowiska, jakie w tej sprawie zająłem, logicznie wypływa. Autor artykułu „Dyskrecya“ przedstawia treść sprawozdania mego w sposób następujący: prelegent „przeczytał znaną ustawę niższej szkoły rolniczej i trochę szczegółów ze stacyi doświadczalnej.“ Przyznaję się otwarcie, że ustawy szkoły w Brzozowej nie znam wcale, ponieważ jednak szkoła ta urządzoną została podług jakiejś ustawy, to zapewne przy opisie tego urządzenia musiały się znaleźć szczegóły zawarte w ustawie; oprócz tego jednak poświęciłem dużo stosunkowo miejsca opisowi gospodarstwa na folwarku szkolnym, następnie wykazałem słabe strony urządzenia stacyi doświadczalnej i opisałem gospodarstwo w Sobieszynie, powołując się na odnośne dowody w księgach gospodarskich znalezione i nazwałem stan gospodarstwa zadawalającym, w końcu nadmieniłem, że od marca r. z. gospo-

darstwo chyli się do upadku. Dlaczego autor „Dyskrecyi" tak niesumiennie załatwił się z treścią mego sprawozdania, na mocy jakich danych podejrzewając, że pod presyą wyrzuciłem rzeczy najważniejsze, posądza mnie o grzech przeciwko cnocie obywatelskiej, jest to dla mnie tajemnicą.

Pisze autor „Dyskrecyi," że wszyscy oczekiwali surowej i bezstronnej krytyki grzechów gospodarki i że słuchaczów spotkał zawód i ogarnęło zdumienie — trudno! Dla celu, w którym sprawozdanie napisanem zostało, bardzo byłaby pożądaną możliwość wyliczenia jaknajwiększej ilości błędów i grzechów gospodarskich, tych jednak w Sobieszynie do roku 1896-go nie było; dowodów zaś za rok 1896-ty nie miałem i mieć nie mogłem, skończy się on bowiem dopiero 1-go lipca r. b.; w tym zaś dopiero roku gospodarstwo upadać zaczęło. *Amicus Plato, sed magis amica veritas*: dobrzeby było, żeby autor „Dyskrecyi" nie wypuszczał z pamięci tej sentencyi w swej dalszej działalności. Jeden fakt w prawdziwem przedstawił świetle: odczytanie sprawozdania nastąpiło w porze tak spóźnionej, iż zgóry można było przewidzieć, że dyskusyi żadnej nie będzie. Wobec tego jednak, że cel główny przez usunięcie się administratora-opiekuna osiągniętym został i że praca delegacyi miała być podaną do publicznej wiadomości, dyskusya stała się zbyteczną.

Racz przyjąć Sz. Panie Redaktorze wyrazy wysokiego szacunku

Piotr Danysz.

Brasów, 4 lutego.

W DALI.

Łódź. Komitet taryfowy w Petersburgu zatwierdził nowe warunki przewozu bawełny do Łodzi. — Wskutek zastoju w fabrykach tkackich, liczbę godzin pracy zredukowano w nich do *minimum*. Drobni przemysłowcy, posiadający własne warsztaty ręczne, są pozbawieni całkiem zarobku. Są to przeważnie Żydzi, którym zarząd gminy stara się przyjść chociaż z drobną pomocą. — Towarzystwo kredytowe miejskie wystawia na sprzedaż za niezapłacenie raty majowej r. z. 10 nieruchomości. — W jednym z domów przy ul. Widzewskiej zwrócono uwagę na niejaką P., trudniącą się wychowywaniem niemowląt, a to z powodu, że w tych dniach jedno z dzieci zmarło wśród zagadkowych okoliczności. Sekcya wykazała, że głód był przyczyną śmierci. Podobno w ciągu ostatnich trzech lat u P. zmarło 10 niemowląt z niewyjaśnionych przyczyn. — Inkasent fabryki E. Wewera, W. J., znikł bez śladu z 10,000 rs., które mu powierzono do złożenia w Banku Handlowym. — Z początkowania pastora Rondthalera przy kościele św. Trójcy powstanie schronisko dla starców i kalek wyznania ewangelickiego. Pozwolenie ministeryum już nadeszło. — Według danych statystycznych, w roku sprawozdawczym 1896-ym we wszystkich kancelaryach rejentów m. Łodzi liczba zaprotestowanych weksli różnego rodzaju wynosiła 55,698 na ogólną kwotę rs. 11,000,621 kop. 35; zawarto różnych aktów rejentalnych 10,207 na rs. 54,490,217 kop. 63. Od powyższych aktów na rzecz kasy miejskiej przypadło 58,098 rs. 61 kop. — W Pabianicach, miasteczku fabrycznem pod Łodzią, zakładają kasę przemysłowców, na wzór takiejże kasy w Łodzi. Podanie z projektem ustawy, podpisane przez 50 członków założycieli przyszłej instytucyi kredytowej, złożono już w rządzie gubernialnym. — Wskutek rozporządzenia władzy gubernialnej przystąpiono do zebrania szczegółowych danych o ilości koni i stadninach rozpłodowych w obrębie powiatu Łódzkiego.

Piotrków. *Prawit. Wiestn.* donosi o zatwierdzeniu ustawy kasy pożyczkowej w Starorokiciach, w gub. Piotrkowskiej, i zarazem nadmienia, iż ustawę tę uznano za normalną dla kas tego rodzaju w Królestwie Polskiem. — W Sosnowcu otwarto nowy teatr przedstawieniem amatorskiem na cel dobroczynny. Dano prolog Andrzeja Niemojowskiego i „Zemstę za mur graniczny."

Radom. W sprawie bandy przedborskiej zapadł w sądzie okręgowym radomskim wyrok, skazujący dwóch obwinionych na lat 10 ciężkich robót, 3-ch na 4 lata, 6-u na zesłanie do oddalonych miejsc Syberyi, 2-ch do mniej oddalonych, 6-u na lat 2 do rot aresztanckich, 3-je na dwuletnie więzienie, 2-je na jednoletnie, 1-go na 3 miesiące więzienia odosobnionego, 5-u uniewinniono; jeden z obwinionych, odpowiadający z wolnej stopy, zbiegł. — Budżet eksploatacyi kolei Dąbrowskiej na rok 1897, zatwierdzony przez ministeryum skarbu, przedstawia spodziewany dochód 5,152,766 rs., rozchód zaś oczekiwanym jest w ilości 3,465,542 rs. Dyrektorem kolei Dąbrowskiej został główny inżenier kolei Bałtyckiej, Iwanow.

Kijów. Ostatecznie uchwalono otwarcie w Kijowie Instytutu politechnicznego, dzięki zabiegom społeczeństwa. — Przy szkole rzemieślniczej żeńskiej otworzono kursy bezpłatne: kroju, szycia sukien, wyszywania i prasowania. W przyszłości będą wprowadzone wykłady praktyczne tkactwa, kwiaciarstwa i wyrobu kołder. Na wykłady bezpłatne zapisało się przeszło 100 kobiet.

Petersburg. Gazeta *Łucz*, zawieszona do czasu zatwierdzenia nowego redaktora, po przerwie dwutygodniowej zaczęła znowu wychodzić. — *Birż. Wied.* donoszą, iż mennica petersburska usilnie pracuje nad biciem monet złotych nowego wzoru; nowe imperyały i półimperyały ukażą się w obiegu w m. b. — W kasie Banku państwa znajduje się obecnie 678$\frac{1}{2}$ miliona rubli w złocie. Suma ta przewyższa o 7$\frac{1}{2}$ miliona rubli zapasy metalu razem wziętych banków: angielskiego, austryackiego, niemieckiego i włoskiego. — Dzienniki peterburskie piszą wiele o wprowadzeniu nauki obowiązkowej, oświadczają się za niemi, nazywają je uzupełnieniem reformy włościańskiej i rokują pomnożenie w ten sposób sił produkcyjnych ludu.

KRONIKA.

Dla Mickiewicza. Dnia 4 stycznia 1899 r. przypada najdroższa pamiątka literatury polskiej: setna rocznica urodzin największego jej poety, Adama Mickiewicza. Nietylko dzienniki polskie, ale nawet rosyjskie, zaznaczyły potrzebę uczczenia tej pamiątki w sposób uroczysty i godny wielkiego, a tak ukochanego imienia. Być może, iż nareszcie w tym roku zakończy się wieloletnia i bezprzykładnie skandaliczna komedya i że w Krakowie stanie pomnik twórcy *Pana Tadeusza*. Ale tego nie dosyć. My ze swej strony powinniśmy również pomyśleć o jakimś widomym hołdzie. Co uczynić należy i co uczynić można? Nie będziemy tego pytania rozwiązywali odpowiedzią doraźną. Według nas trzeba utworzyć komitet, któryby rozważywszy rozmaite projekty i warunki ich urzeczywistnienia, wybrał jakiś pomysł, postarał się o zatwierdzenie go przez władzę i powołał społeczeństwo do spełnienia obowiązku. W Warszawie przebywa dwóch ludzi, którymby tę sprawę przedewszystkiem poruczyć wypadało: Piotr Chmielowski, autor obszernego studyum o Mickiewiczu, i Leopold Meyet, autor wielu przyczynków do jego życiorysu i skrzętny zbieracz pamiątek po nim. Oni przez samą znajomość rzeczy i zasługi są wskazani do steru w tem przedsięwzięciu.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło przyjmować do straży ogniowych wiejskich i miejskich kandydatów w wieku 17—20 lat, lecz za zgodą rodziców i z warunkiem, iż nieletni nie będą należeli do zarządów straży i nie będą mieli prawa głosu stanowczego w zebraniach ogólnych. Uczniowie zakładów naukowych nie mogą brać udziału w strażach.

— Przy biurach pocztowo-telegraficznych na stacyach Zegrze i Otwock otworzono kasy oszczędności.

— Śród ludności robotniczej warszawskiej rozeszła się mylna pogłoska o poszukiwaniu znacznej liczby robotników do budowy kolei na Syberyi i w Mandżuryi. Wielu zwraca się do władz kolejowych z prośbą o „zapisanie na wyjazd." Pożądane jest wyprowadzenie z błędu ludności interesowanej, gdyż mogą się znaleźć oszuści, którzy potrafią wyzyskać łatwowiernych.

— Czynna dotąd jeszcze komisya do rewizyi ustaw sądowych większością głosów uchwaliła utrzymać w zasadzie sądy przysięgłych, wprowadzić wszędzie rady obrońców i przyznać prokuratorom izb prawo protestu na postanowienia rad obrońców w sprawie przyjęcia nowych członków.

— Ministeryum skarbu wystąpiło do Rady państwa z propozycyą zniesienia podatku, pobieranego na rzecz skarbu za karty pobytu. Projektowane jest skasowanie opłat paszportowych, blankiety paszportowe mają być wydawane darmo, a za książeczki paszportowe będzie pobierana opłata kop. 15.

— Izba sądowa w Charkowie wydała wyrok w procesie o zaburzenia antisemickie. Uznano za winnych 50 oskarżonych, uniewinniono 21. Winnych skazano: niektórych na więzienie po 8 miesięcy, siedmiu na 2, 3 lub 4 miesiące, a małoletnich na 2 miesiące. Akcyę cywilną przyznano w kwocie 4,378 rs., zamiast żądanych 20,000.

Mianowanie. General-major Onoprienko mianowany pomocnikiem general-gubernatora warszawskiego.

Zaprzeczenie. P. W. Przyborowski w liście do *St. Pet. Wied.* i do nas zaprzecza doniesieniom p. Szarapowa (powtórzonym w nr. 6 *Prawdy*), twierdząc, że w Moskwie nigdy nie był i z Aksakowem się nie widział.

Szkoły. Z Petersburga dochodzą stanowcze wiadomości, iż miejsce obecnego kuratora okręgu naukowego warszawskiego, A. L. Apuchtina, zajmie b. profesor uniwersytetu odeskiego, ostatnio prezydent Odesy, Ligin.

Projekt otwarcia w Warszawie jeszcze jednego gimnazyum męskiego ośmioklasowego przesłano do zatwierdzenia ministeryum oświaty. Dla poparcia tej sprawy sporządzono wykazy uczniów, którzy w swoim czasie w gimnazyach istniejących zdali egzaminy wstępne, lecz z braku miejsca nie mogli być przyjęci. Jeżeli projekt uzyska zatwierdzenie, od nowego roku szkolnego będą otwarte na początek cztery klasy, w dalszym zaś ciągu co rok będzie otwierana klasa następna.

— Zarząd Towarzystwa pracowników handlowych postanowił starać się u ministeryum o pozwolenie na założenie szkoły w rodzaju zakładu p. Rontalera, z dodaniem kursów wieczornych, z prawami szkół rządowych.

— W r. 1895/6 czynnych było w Warszawie 590 zakładów naukowych, podlegających ministeryum oświecenia publicznego; korzystało w nich z nauk 32,279 osób, mianowicie 23,978 studentów i uczniów, tudzież 8,292 uczenice.

Koleje i komunikacye. Z wprowadzeniem na wiosnę większej szybkości pociągów, szczególne znaczenie ma być nadane pośpiesznym. Będą w nich przewożeni podróżni wszystkich trzech klas, z dopłatą do taryfy normalnej 25%, przyczem pociągi te, niezależnie od szybkości 65 wiorst na godzinę, będą dla większego pośpiechu pomijały przystanki i stacye pomniejsze. Dopłata obowiązywać będzie także w pociągach kuryerskich, których szybkość ma wynosić 75 wiorst na godzinę. Nie będą one miały klasy trzeciej, lecz natomiast wszelkie udogodnienia dla pasażerów pierwszej i drugiej (wagony sypialne, restauracyjne). Mają być także ustalone pociągi błyskawiczne w komunikacyi międzynarodowej, wyłącznie tylko z wagonami klasy pierwszej, sypialnymi i restauracyjnymi. Dopłata do normalnej ceny biletów wyniesie 50%. W granicach państwa rosyjskiego szybkość tych pociągów nie może przekraczać 83 wiorst na godzinę. Prócz tego do szybkości przyczyni się omijanie wszelkich stacyj, z wyjątkiem krzyżowych, do których w Królestwie Polskiem należą: Skierniewice, Koluszki, Ząbkowice, Skarżysko, Iwangród, Siedlce, Łuków, Tłuszcz, Małkinia, Łapy, Lublin.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej wprowadza z d. 13 marca ograniczenie w korzystaniu z biletów abonamentowych komunikacyi podmiejskiej przez kilka osób jednocześnie. Nadal bilet taki służyć będzie tylko jednemu pasażerowi. Kolej nie mogła się zdobyć na rozumniejszy pomysł (np. stemplowanie biletów w wagonie przez nadkonduktora), więc wprowadziła dawne utrudnienie dla publiczności. Jeżeli np. jedzie rodzina, złożona z kilku osób, to

tylko jeden jej członek może korzystać z przywileju zniżki!

Zdrowie publiczne. W *Prawit. Wiest.* ogłoszono program działalności komisyi pod przewodnictwem Jego Wysokości Księcia Aleksandra Piotrowicza Oldenburskiego w celu obmyślenia środków, zapobiegających przedostaniu się dżumy do Rosyi.

— Naczelnik kraju Zakaspijskiego donosi, że dżuma zjawiła się w Kaszgarze.

— W Instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu mają się rozpocząć odczyty dla lekarzy w sprawie opieki nad chorymi zaraźliwie, szczególnie na dżumę.

— W Moskwie wkrótce będzie otwarte dla publiczności muzeum hygieny i techniki sanitarnej.

Wynik konkursu. Na tegorocznym konkursie malarskim i architektonicznym w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych, pierwszych nagród nie przyznano nikomu. Drugie nagrody otrzymali: Włodzimierz Tetmajer za tryptyk „Kolęda“ i Józef Mazurkiewicz za rysunki architektoniczne. Nagrodę trzecią otrzymał E. Niewiadomski za „Krajobraz.“ Nadto przyznano listy pochwalne czterem malarzom i jednemu architekcie.

Wystawa koni i zwierząt gospodarskich, urządzana przez Towarzystwo wyścigów konnych, według postanowienia wyznaczonej w tym celu komisyi, na posiedzeniu dnia 8 b. m., ma potrwać od d. 13 do 23 czerwca r. b.

Zmarli. Konstanty hr. Przezdziecki, znany z różnorodnej działalności w sprawach społecznych.

— Alfred Romer, artysta malarz i rzeźbiarz, członek komisyi historyi sztuki przy Akademii krakowskiej, zmarł w Karolinowie w gub. Wileńskiej, przeżywszy lat 65. Odznaczał się jako portrecista, ogłosił rozprawę o dawnych pasach, zamieszczał rysunki typów ludowych w *Wiśle*, zostawił pamiętniki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wahającemu się ojcu. Tak niedawno powstała, że trudno o niej coś pewnego powiedzieć. Słyszeliśmy pewien zarzut, ale nie poręczamy jego zasadności.

P. Bronisławie. Zakłady freblowskie wydają uczenicom swoim nie patent, lecz rekomendacyę piśmienną, która ma znaczenie tylko przy objęciu miejsc prywatnych. Dla otrzymania pozwolenia na otwarcie zakładu freblowskiego potrzebny jest patent nauczycielski rządowy. Uczenice tych zakładów posiadają różne przygotowanie: wykształcone należą do kursów freblistek-nauczycielek, osoby z elementarnem przygotowaniem — do bon-freblistek. Największem uznaniem cieszą się: Ludwiki Jabłkowskiej, Wspólna 40; Zofii Garbowskiej, Sienna 21; Jadwigi Chrząszczewskiej, Nowy Świat 21.

M. L. w K. Ani poezyi w treści, ani artyzmu w formie.

Sprostowanie. W nr. 6, str. 69, szp. 1, wiersz 31, zamiast „a kościołem,“ powinno być „z kościołem“; wiersz 60, zamiast *dyskusyi* — „dyktatury“; szp. 2, w. 3, zamiast *uniwersytetów* — „uniwersałów.“

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 31 Января 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.